

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 28 marca — 4 kwietnia 1948 r. Nr 13-14 (142-143)

W NUMERZE
między innymi:

St. S. Gębala — Winowajcy
M. N. Listowski — Róże i lasy
A. Seghers — Siódmy krzyż
W. Jedlicki — Obraz Niemiec?...
T. Różewicz — Wiersze
T. Drewnowski — Na bocznicy rozwoju literackiego
L. Budrecki — O powieść katolicką...
A. Kamińska — Ku tura drukowana
J. Bienieć, M. Czula, A. Olechnowicz, T. Goździkiewicz, W. Błachut, S. Skulski, L. Pokora, J. Nagrabiecki, M. Minias — Głosy ze wsi o latach okupacji

KONKURS NA GODŁO PAŃSTWOWE



II nagroda. Praca M. Byliny i F. Bandtke



Wincenty Pstrowski



III nagroda. Praca Z. Kamińskiego, E. Johna i F. Hebdasa

Aleksander Litwin

WSPÓŁZAWODNICTWO A HUMANIZM

Gdy spytano w swoim czasie Pstrowskiego — w czym leży tajemnica jego osiągnięć — odpowiedział: „Najpierw trochę pomysłu, a później pracuję”.

Ostatnio w rozmowie ze mną dodał, iż swych „sposobów” podniesienia produkcji bynajmniej nie wyczerpał. Jego rekordy wydajności pracy zostały pobite przez innych górników; ale również on, Pstrowski, podejmie wysiłek, aby poważnie przekroczyć własne wyniki. Rzecz cała w „sposobie” produkcji, w organizacji pracy a nie w przekroczeniu norm wysiłku ludzkiego.

Pstrowski w czasie pobytu z delegacją polską w Związku Radzieckim na uroczystościach 30-lecia zwycięstwa rewolucji, nie był w Donbasie; nie mógł dlatego zapoznać się np. ze wspaniałymi osiągnięciami górników Gorłowski. Zreferowałem mu ich metody pracy z danych prasy radzieckiej.

Wielu stachanowców osiągnęło tam światowe rekordy wydajności pracy, wykonując w ciągu dnia od 50 do 70 norm (600 — 800 ton węgla). Górnicy ci osiągnęli swe zwycięstwa dzięki udoskonaleniu organizacji pracy. Brygady swe powiększyli oni z 2 do 8 — 9 ludzi, dokonali ścisłego podziału pracy, w rezultacie czego każdy z brygad pracuje cały dzień tym samym narzędziem przy jednej pracy; unika się tym samym przerw, człowiek wdraża się bardziej do swego zawodu i na swym węższym odcinku szybciej i łatwiej udoskonalą metody swjej pracy.

Pstrowski uważnie słuchał moich wywodów. Po krótkim zaś namyśle stwierdził: W Polsce nie na wszystkich pokładach da się ta metoda zastosować; w wielu jednakże kopalniach można byłoby ją wprowadzić (wliczyć kilka z nich imiennie). Wymaga to jednakże, jego zdaniem, udoskonalenia organizacji i techniki pracy i, — rzecz najważniejsza — świadomego ustosunkowania się robotników do swej pracy. Pstrowski w czasie naszej krótkiej rozmowy kilkakrotnie podkreślił, iż rzeczą najważniejszą dla rozwoju gospodarki narodowej jest — zrozumienie przez wszystkich robotników polskich, iż pracują obecnie nie dla państwa, dla siebie. To i jedynie to leżało u podstaw jego wezwania do współzawodnictwa pracy: to jest też podstawowym warunkiem rozpowszechnienia nowych „sposobów” produkcji. Tędy wiedzie droga do potęgi państwa i powszechnego dobrobytu.

Ta krótka rozmowa jest, jak sądzę, doskonałą ilustracją zarówno istoty współzawodnictwa pracy, jak również naszych dotychczasowych osiągnięć i ich perspektyw w najbliższej nawet przyszłości.

U ZRÓDEŁ

Współzawodnictwo pracy jest dziecięciem socjalistycznej rewolucji. Nie każdy pępejski,

ludowy ruch wyzwoleniecy mógł zrodzić współzawodnictwo pracy. Nie mogło się ono zrodzić np. z walk Spartakusa, z ruchów wyzwolenieczych niewolników rzymskich przeciwko społeczeństwu klasycznemu. Klasa niewolników nie była bowiem zdolna do spełnienia samodzielnej roli w historii, nie była zdolna do zbudowania nowego społeczeństwa. Jej ideologią nie mógł być dlatego rewolucyjny, burżuazyjski i twórczy materializm; nie mogła ona zarysować ideału społeczeństwa równości dobrobytu, kultury. Ideałem tych klas mogła być co najwyżej równość w ubóstwie, w ascezie, równość „wobec Boga”. Praca nie była podstawowym założeniem nawet gminy chrześcijańskiej, pomimo iż wspólnota pracy była jednym z założeń jej prymitywnego komunizmu. Nie była to jednakże praca, która wieść miała powszechny dobrobyt i kulturę, lecz co najwyżej praca, która miała zaspokoić minimum doczesnych potrzeb człowieka, by przygotować zbawienie duszy.

Nie mogły zrodzić współzawodnictwa pracy wojny chłopiejskie. Po pierwsze dlatego, że chłopstwo jako klasa nie było również zdolne do objęcia kierownictwa historią; po wtóre — współzawodnictwo pracy może powstać nie na gruncie drobnej rozpylonej wytwórczości, lecz na gruncie wielkiej, uspołecznionej pracy; po trzecie — współzawodnictwo pracy może się zrodzić jedynie na bazie zwycięstwa ludu i to wówczas, gdy władzę tę weźmie lud w swe ręce.

Nie mogła tym bardziej zrodzić współzawodnictwa pracy wielka burżuazyjna rewolucja francuska. Już w 1796 roku ujawniło sprzyśszenie Babeufa nie dające się pogodzić przeciwieństwa w łonie społeczeństwa kapitalistycznego. Mało tego, — gdy w rewolucji 1848 r. lud przez stworzenie warsztatów narodowych, chciał pracą swą tworzyć powszechny dobrobyt, — burżuazja odpowiedziała kulami.

Rozwinąć współzawodnictwo pracy mogła — poraz pierwszy w dziejach ludzkości — Komuna Paryska; ale ona istniała zbyt krótko i nie zdołała zmobilizować energii i twórczości ludu dla pokojowej pracy, — pracy która może odrodzić ludzkość.

Nie jest dlatego rzeczą przypadku, że pierwszą ojczyzną współzawodnictwa pracy był Związek Radziecki, że tam osiągnęło ono najwyższe wyżyny rozwoju i dokazało cudów twórczości wyzwolonej pracy ludzkiej.

A W POLSCE

Rozwój współzawodnictwa pracy w Polsce należałoby, dla historycznej ścisłości, podzielić na dwa etapy. W pierwszym, bezpośrednim po wyzwoleniu kraju, nieliczna awangardowa grupa robotników, przeważnie członków Polskiej Partii Robotniczej, objęła przedsiębiorstwa przemysłowe i po części majątki rolne i przystąpiła do ich odbudowy. Ona w najcięższych warunkach, wzywała robotników do pracy, do wytrwałości, uczciwości względem państwa ludowego i jego własności; dostojnie w przeciągu kilku tygodni przystosowała wiele fabryk do produkcji na rzecz walczących na froncie wojsk polskich; cierpliwie i z największą ofiarnością wyjaśniała głodującym i marzącym robotnikom, iż praca i wiara we własne siły jest jedyną drogą odbudowy, zapewnienia powszechnego dobrobytu i zbudowania społeczeństwa sprawiedliwości społecznej.

Dlatego jednakże w owym czasie współzawodnictwo pracy nie mogło być jeszcze zjawiskiem tak powszechnym, jak obecnie?

Gospodarka nasza rozwijała się w owym okresie w dość szczególny sposób. Państwo objęło w swe posiadanie kluczowe gałęzie przemysłu, transportu i finansów; scentralizowane i dostateczne zaopatrzenie rynku wymagało jednakże kilkuletniej pracy. Jedynie więc czas i praca mogły zapewnić uspołecznionemu sektorowi przewagę na rynku. Natomiast sektor prywatny posiadał w swym reku dwie kluczowe dziedziny zaopatrzenia: rolnictwo i handel. W jego też ręku w pierwszym okresie znalazła się bardzo poważna dziedzina zaopatrzenia: — szaber.

Przypominam sobie, jak w jednej z wielkich fabryk łódzkich wiele robotnic oświadczyło mi wówczas: „Jesteśmy gotowe znieść wszelki niedostatek, ale chcemy jednego, — aby państwo wzięło w swe ręce wszystko i zapewniło sprawiedliwość”. Robotnice te żądały socjalizmu. Widziały bowiem wówczas każdy robotnik, jak ciężko wytwarzanego przez niego produktu dodatkowego oraz część jego zarobku przesączają się do kieszeni spekulanta.

Ten niedostatek i niezadowolenie wykorzystywały wrogie Polsce czynniki dla spętania tego niedostatku i niezadowolenia, strajków i sabotażu dostaw ze wsi.

Rozwój masowego współzawodnictwa pracy stał się możliwy dopiero wówczas, gdy w państwowym sektorze gospodarki przeważały elementy socjalizmu, gdy produkt dodatkowy przestał w poważny sposób przesączać się z państwowego przemysłu do kieszeni spekulanta, a więc gdy państwo zapewniło możliwie najbardziej sprawiedliwy w naszych warunkach podział dochodu narodowego.

Drugim warunkiem rozwoju współzawodnictwa było złamanie wszelkich nadziei reakcji na możliwość przechwycenia władzy w Polsce, gdy więc głęboko skompromitowała się w oczach narodu.

W tych nowych warunkach każdy robotnik, nawet ten, w którego umyśle nie rozwinęły się jeszcze poważne elementy socjalistycznej świadomości, zrozumiał, iż z owoców jego pracy korzystać będzie naród, klasa robotnicza i on sam. Ułatwiły mu zrozumienie tego dwa czynniki: nowy, akordowo-premiowy, system płac, który wynagradza z nawiązką wszelkie dodatnie wyniki pracy, oraz — po wtóre — utworzenie robotniczych komisji kontroli cen, komisji podatkowych itd.; każdy robotnik poczuł się nie tylko gospodarzem Polski, ale zobaczył naczyniem swą dominantę nad wrogimi mu elementami kapitalistycznymi.

CO TO JEST WSPÓŁZAWODNICTWO?

Spróbujmy określić kilka cech zasadniczych współzawodnictwa pracy.

Apologoci kapitalizmu ze wszelkiej szkoły, zarówno jawnej imperialistycznej jak i z „socjalistycznej” szkoły „organizowanego kapitalizmu” czy też amerykańskiej — „ludowego kapitalizmu” — wychodzą z zasadniczego założenia, że konkurencja jest motorem wszelkiego postępu na wszelkich etapach historii ludzkiej. Uznają dlatego za pozytywne i postępowe społeczne tendencje konkurencji; — społeczne, bo przecież celem tego kapitalistycznego „współzawodnictwa” jest nie dobro społeczne, lecz chęć napelnienia własnej kabzy, choćby kosztem głędy i życia

KONKURS:

ilu zdobędziesz prenumeratorów „Wsi”?

Patrz str. 6!

milionów. Naród, społeczeństwo, człowiek są bądź wrogami „współzawodniczącego” kapitalisty, obiektami jego eksploatacji, bądź w najlepszym razie — narzędziami, dla wyzysku innych narodów.

Robotnicze współzawodnictwo pracy zakłada, iż człowiek, zarówno ten, który uczestniczy we współzawodniczącej brygadzie, jak i ten z przeciwnego współzawodniczącego zespołu są współtowarzyszami walki o wyższy cel — dobro społeczne, dobro narodu. Celem współzawodnictwa jest sprawa człowieka i zbiorowości. Prawdziwie ludzki humanizm leży więc u podstaw robotniczego (socjalistycznego ze swego charakteru) współzawodnictwa pracy.

Z powyższego wynika wniosek drugi: współzawodnictwo pracy jest szkołą humanizmu, jest drogą do wypienienia z umysłu ludzi pracy pozostałości kapitalistycznej, mieszczańskiej mentalności, egocentryzmu, kołtuństwa, moralności rwacza, wszelakich społecznych tendencji, jakie odziedziczyliśmy po wiekach panowania klasowego. Współzawodnictwo pracy jest więc, jeśli wolno posłużyć się staropolskim wyrażeniem, szkołą obywatelskiego wychowania. Jest więc drogą odrodzenia człowieka.

Współzawodnictwo pracy zakłada przodownictwo tysięcy i dziesiątków tysięcy ludzi pracy, którzy świadomie pokonują stare nawyki i zastarzałe normy, którzy dają przykłady świadomego ustosunkowania się pracujących do swojej pracy. Wyższy ustrój społeczny, oparty o zasady sprawiedliwości, zrodzić się może jedynie tam, gdzie powstaje ofiarą troska szeregowych robotników o dobro społeczne, o własność społeczną, o wzrost wydajności swej pracy w interesach społeczności, tam, gdzie codziennie rewolucjonizowanie życia i pracy opiera się na twórczej inicjatywie tysięcy i milionów ludzi pracy. Współzawodnictwo pracy jest więc zasadniczym elementem stałego postępu, ciągłego rewolucjonizowania życia człowieka i narodów. Jednostki postępu i humanizmu są w ten sposób zasadniczymi elementami współzawodnictwa pracy.

Jedną z cech współzawodnictwa jest równanie nie na średnie, ale na przodujące osiągnięcia, próby prześcignięcia rekordów. To równanie na przodujące, na najdoskonalsze wyniki, pociąga nienadążających i opieszających do poziomu przodujących ludzi. W tym tkwi nie tylko postępowa, ale i wychowawcza rola współzawodnictwa pracy; w codziennej pracy, środkami najbardziej przystępnymi masom, w powiązaniu sprawy społecznej z osobistą, wychowuje się tysiące i miliony ludzi pracy na świadomych obywateli, świadomych twórców nowego społeczeństwa, świadomych gospodarzy swego kraju i panów swej historii.

Z istoty współzawodnictwa wynika jego znamienne cecha — zdolność i tendencja do pokonywania wszelkich przeszkód i trudności. Przodownik pracy to człowiek, który nie tylko wykonuje postawione zadanie, ale który stawia sobie za cel pokonanie wszelkich pieczętych się trudności na drodze do podniesienia wydajności swej pracy, zwiększenia ilości i jakości materialnej produkcji. Wymaga to nie tylko i nie tyle zwiększonego wysiłku fizycznego, ile wysiłku intelektualnego, rewolucjonizującej myśli szeregowych ludzi pracy. „Najpierw pomyśl, a później pracuj” — wyjaśnił to w prostych słowach Pstrowski. Ta zdolność i tendencja do pokonywania wszelkich trudności i przeszkód jest podstawą wszelkiego postępu. Współzawodnictwu jest więc obcy wszelki konserwatyzm, zaskorupiałość, zastój. Ujarmia wszelkie siły przyrody i wprzega je w służbę człowieka i

BEZIMIENNY WERSZ Z CZASÓW OKUPACJI

Mówiła Matula Marysi: Znow idziesz dzisiaj
I szykowała chleba z serem białym na dobę całą.
Mówiła Matula: Maryś: nie zostaw samej —
Odpowiadała Marysia: Powrócę, Mamo.
Patrzyłaś Matuś z ogrodu w drogę nad borem,
Czy wraca Maryś do domu późnym wieczorem.
Robota jej z rąk leciała cheć — niecheć,
Na wieś przyszły czasy ciężkie, czasy gorące,
Zmowy, szepty w białej izbie, przygotowania,
Praca, praca przez noc całą, przez noc do rana.
W sieni, w kuchni, pod oknami ktoś się przesuwa.
Cyt! Głos ściszyć, co to? — To mama czuwa.
Miała Maryś u matuli dobrą opiekę,
Rosta dzielnie przy jej sercu — rosta człowiekiem.
Ale w życiu trzeba płacić nie ma nic darmo —
Przed chatą się zatrzymało auto żandarmów.
Wysła matka na próg chaty w ostatnią drogę,
Młodym w chacie zgromadzonym jakże pomogę!
Bije serce, oczy twarde, woła z kamienia —
Wstrzymam, powiem — za mną w chacie nikogo nie ma.
Szerwienila się Marysi chustka pod lasem,
Krwawi matki skroń zraniona twardym obcasem.
Jeszcze się szmer za młodymi po krzakach wlece —
Matka pta nogi zbiorów — w próg nie wejdzie!
Szerwienila się Marysi chusteczka w lesie,
Któż wam Maryś na wykroty jadło wyniesie.
Na murawie krwawa plama — czerwień bogata,
Przed zbirami trup kobiety i pusta chata,
Jeno serce bić przestało — serce człowieka —
Krew zeń wolno spływa w ziemię, w ziemię co czeka.

Drukowany we Francji

ludzkości; zdobywczą myślą odkrywa tajniki natury i wyzwala człowieka od przewagi sił przyrody.

Ten rewolucjonizujący stosunek współzawodnictwa pracy do rzeczywistości zakłada jednakże inną, nową moralność, wyższe zasady etyki, o jakich marzyły najświatlejsze umysły ludzkie, pokolenia ludzi pracy. U podstaw współzawodnictwa leży stosunek do państwa, które stało się państwem ludu pracującego, — nowy stosunek do własności społecznej, która stała się dobrem wspólnym ludu pracy i służy jego interesom, a nie garstce wyzyskiwaczy, — nowy stosunek do pracy, która stała się wolną pracą wolnych ludzi, a nie jest już środkiem wzbogacania wrogów ludu. Świadomość tego, świadomość dokonanych przemian, jest podstawą współzawodnictwa, a zarazem podstawą wszelkich poczynań zmierzających do wychowania ludzi pracy na świadomych obywateli i budowniczych nowych zasad współżycia ludzkiego, podstawą wychowania nowego człowieka.

Kapitalistyczna konkurencja (szczególnie w okresie przedmonopolistycznym) posiadała bezspornie, i posiada w pewnym stopniu obecnie, tendencję do przeobrażenia społeczeństwa, do ciągłych udoskonaleń technicznych. Dlatego w swoim czasie rozwój kapitalizmu stanowił raptowny skok naprzód w dziejach ludzkości. Z tych też względów monopolizm kapitalistyczny jest dowodem wstecznej roli kapitalizmu obecnie. Ale u podstaw kapitalistycznej konkurencji leżało prawo dżungli, „wojna wszystkich przeciw wszystkim” — jak to słusznie, choć nie historycznie określił Malthus, wyzysk człowieka przez człowieka, pomiatanie człowiekiem, zarówno konkurentem, jak tym bardziej człowiekiem pracy. Po wtóre — przeobrażenia w technice pracy, postęp techniczny nie były celem tej konkurencji, ale mimowolnym skutkiem — mimo i wbrew woli rządzącej klasy. Dalej — konkurencja kapitalistyczna zakłada nie przeobrażenia społeczne, nie postęp ku wyższym formom społecznego bytu, lecz wprost przeciwnie — tendencję do umocnienia i rozszerzenia istniejącego porządku rzeczy, podporządkowania sobie innych formacji społecznych, do spotęgowania wyzysku ludzi pracy i narodów kolonialnych, do skolonializowania wszystkich narodów świata, nawet najbardziej kulturalnych (patrz plan Marshalla), a nawet obecnie do cofnięcia ludzkości ku barbarzyństwu, do prymitywnym, półpańszczyźnianym formom społecznego bytu. Konkurencja zakłada nie aktywność, ale bierność milionów pracujących, wyklucza ich świadomy stosunek do pracy, własności i państwa; świadomości pracujących miast i wsi — to koniec społeczeństwa wyzysku. Jak bardzo zżeczni muszą być obecni ekonomiści i socjologowie, publicyści i filozofowie, głównie anglo-amerykańskich szkół, którzy chcą teraz, po drugiej wojnie światowej, wykazać postępowe elementy kapitalistycznej konkurencji.

Inicjatywa i twórczość, ofiarność i entuzjazm setek tysięcy i milionów ludzi pracy — są podstawą naszego postępu, ku wyższym formom społecznego bytu, gwarancją zwycięstwa naszej drogi; one dają nam pewność, iż nowy człowiek, wychowany w pracy i budownictwie, stanie się rzeczywiście panem przyrody i panem historii ludzkiej.

SPRAWA CZŁOWIEKA

Współzawodnictwo pracy jest drogą, która wiedzie do wyzwolenia człowieka. Czy jest ono zarazem drogą wyzwolenia jednostki? Czy nie spowoduje, jak złowieszco przepo-

wiadają zwolennicy wolnej konkurencji, zdławienia jednostki przez zbiorowość?

Mała dygresja historyczna sprawę tę wyjaśni najlepiej.

W społeczeństwie pierwotnym poczucie wspólnoty ze społecznością, z grupą, było ogromnie rozwinięte. Ale w grupie tej człowiek nie posiadał jeszcze poczucia swego „ja”, swej indywidualności. Człowieka dawała jego niemoc wobec potęgi sił przyrody, niestanna naprzemna walka o byt, ciągłe widmo głodu, niski poziom kultury materialnej i duchowej.

Rozbicie społeczeństwa na klasy wyzwoliło spod przytłaczającej przewagi zbiorowości, grupy, jedynie nieliczną warstwę — człowieka przynależącego do klas panujących. Ale po pierwsze — stosunki klasowe panowania i poddaństwa spowodowały, że społeczeństwo przestało być, jak wyraził się Marks, „prawdziwym kolektywem”, a stało się „pozornym kolektywem”. Po wtóre — w społeczeństwie klasowo rozczłonkowanym położenie jednostki określały nie jej właściwości osobiste, nie jej uzdolnienia i pożyteczność dla społeczności, ale jej pochodzenie klasowe. Jednostka przynależna do klas uciskanych i eksploatowanych jest uciskana ekonomicznie, politycznie i kulturalnie. Jednostka klas wyższych stała się niewolnikiem swej klasy, jej obyczajów, moralności, mentalności, światopoglądu.

Gospodarka towarowa, a szczególnie kapitalistyczna, zrodziła nowy problem. Na stosunek człowieka do społeczności patrzeć zaczęto przez pryzmat towaru. Stosunki między ludźmi ukryte zostały za stosunkami między towarami. Zerwana została więź społecznej solidarności. Łączność między człowiekiem a społeczeństwem dokonuje się poza świadomością człowieka, a nawet wbrew jego woli; od jednostki — właściciela towaru — jedyną jednostką tego społeczeństwa — wypływa siła odpychająca, rozbijająca więź społeczną.

Nie trzeba chyba dowodzić, iż wyzwolenie jednostki — właściciela towaru — dokonano się kosztem niewoli tysięcy i milionów ludzi pracy i całych narodów. Ale sama ta „wolność” jednostka stała się niewolnikiem produkowanego przez siebie fetysza — towaru. Towar rzadzi człowiekiem i społeczeństwem, stał się siłą, którą człowiek stworzył, lecz której nie potrafił ujarzmić. Człowiek nadal nie panuje nad swoimi stosunkami społecznymi; te stosunki społeczne rządzą społeczeństwem wbrew woli człowieka.

Czy podobne stosunki społeczne mogły zrodzić współzawodnictwo pracy — współzawodnictwo społeczne, współzawodnictwo narodowe, współzawodnictwo w założeniu swym socjalistyczne?

Uspołecznienie środków produkcji rodzi świadomość współpracy ludzi w procesie produkcji, współpracy bezpośredniej, a nie przez pryzmat towaru. Łączność ta powstaje zresztą nie tylko między jednostkami, ale zarazem między przedsiębiorstwami i gałęziami produkcji; powstają między nimi, — po raz pierwszy w dziejach ludzkości — od czasu rozczłonkowania jej na klasy — poczucie wzajemnej wspólnoty, stosunki wzajemnej pomocy i współpracy. W ten sposób rodzi się świadomość wspólnoty każdego ze wszystkimi, jednostki ze społeczeństwem. Bez tej świadomości wspólnoty interesów nie tylko między ludźmi, ale również między przedsiębiorstwami i gałęziami produkcji niemożliwe byłoby współzawodnictwo pracy, tzn. świadomy stosunek człowieka do społecznego procesu produkcji.

Jednym z zasadniczych założeń wszelkiego społecznego współzawodnictwa pracy jest o-

panowanie przez człowieka swoich stosunków społecznych. Dopiero gdy człowiek pozna prawa społecznego rozwoju i je ujarzmi, podporządkuje swej woli ku dobru społecznemu, — dopiero wówczas można z człowieka pracy wykreować niezbędny entuzjazm i świadomość, inicjatywę i ofiarność, dopiero wówczas jednostka może się wolną i zdobyć poczucie tej wolności. Jedynie wówczas staje się widoczną wspólnota interesów jednostki i społeczeństwa, a każdy pracujący widzi, że jego wolność opiera się na wolności społeczeństwa, że jego praca służy zarówno jemu osobście, jak i dobru społecznemu; warunkiem zaś wolności społeczeństwa jest wolność jednostki.

Współzawodnictwo pracy zakłada więc wyzolenie jednostki, — wyzwolenie po pierwsze — spod ucisku i wyzysku klasowego, po wtóre — wyzwolenie od panowania nieujarzmionych sił społecznych. Tę wolność zapewnia równość ludzi wobec środków produkcji; nikt wówczas nie przywłaszcza sobie pracy drugiego, a praca służy bezpośrednio jednostce i społeczeństwu. Uspołecznienie środków produkcji znosi przegrody między pozabawionym wszelkich środków produkcji proletariatem, a tymi środkami produkcji, znosi więc wszelkie stosunki zależności człowieka od człowieka, wyzwala jednostkę. U podstaw współzawodnictwa pracy leży więc poczucie wspólnoty ludzi, oparte o wolność jednostki.

Wolność jednostki jest obecnie koniecznością historyczną. Ta wolność i świadomość jednostki stała się bowiem warunkiem rozwoju współczesnych sił produkcyjnych. Te siły produkcyjne wymagają bowiem inicjatywy i zapału robotnika, pomysłowości i zainteresowania pracą, wysokiej jego kultury. Nie istnieje bowiem żadna inna droga pełnego wykorzystania możliwości wytwórczych współczesnej techniki. Ale założeniem tego świadomego stosunku robotnika do procesu produkcji jest — jego wolność, wolność jednostki, zarówno świadomej swego „ja”, swej indywidualności, jak i poczucia łączności ze społecznością.

Wolność jednostki, leżąca u podstaw współzawodnictwa pracy, na tym więc polega, iż jednostka ta może rozwijać swe społecznie pożyteczne uzdolnienia i znajduje w tej mierze poparcie społeczeństwa.

INDYWIDUALIZM A DYSCYPLINA

Spółeczeństwa klasowe, a szczególnie kapitalizm, zrodziły psychologię indywidualizmu, przeciwstawiającą jednostkę społeczeństwu. Ten indywidualizm rodzi aspołeczne i amoralne tendencje i teorie, arystokratyzm, osłabienie więzi społecznej, izolowanie jednostki i osłabienie jej pozycji. Nieumiejętność lub niemożliwość oparcia szczęścia jednostki na szczęściu społecznym, siły człowieka nad przyrodą i stosunkami społecznymi na nieograniczonej historycznie sile zbiorowości — zrodzić musiały nieuniknienie pesymizm, nie-wiarę w ludzkie uzdolnienia, niedocenianie twórczej siły mas.

Nie trzeba chyba uzasadniać, że indywidualizm ten, zarówno wskutek swych aspołecznych tendencji, jak również swego pesymizmu, nie da się pogodzić z klasowymi interesami walczącego proletariatu oraz ze szczególnym przejawem tej walki — współzawodnictwem pracy.

Jednym z założeń współzawodnictwa jest wysoki stopień samodyscypliny klasy robotniczej i mas ludowych, krytycyzmu i samokrytycyzmu jednostki i zbiorowości, nieustanną na krytyka rzeczywistości w celu jej przetrwania i udoskonalenia. Zarówno ta samodyscyplina, jak i krytyka rzeczywistości, opierają się jednakże na wierze zarówno człowieka uspołecznionego, jak i klasy czy społeczeństwa, we własne siły, w swe zdolności do rewolucyjnego przeobrażenia tej rzeczywistości, na wierze, że twórcza praca ludzka przekształci tę rzeczywistość zgodnie z celami i dobrem człowieka i społeczności. Optimizm jest więc zasadniczym założeniem współzawodnictwa pracy. A optymizm ten rodzi się z wiary w zgodność szczęścia jednostki ze szczęściem społeczeństwa.

Sprawa wypienienia z umysłu klasy robotniczej i mas ludowych burżuazyjnego indywidualizmu — to sprawa długotrwałego procesu historycznego; jej droga prowadzi od pozostałości drobniomieszczańskiej mentalności, poprzez tradycjonalizm do socjalistycznej świadomości. Współzawodnictwo pracy jest jednym z zasadniczych oręży wychowania mas w duchu świadomej twórczej solidarności, drogą do zwalczania pozostałości burżuazyjnego indywidualizmu, sołectwa kołtuństwa.

Jedynie tędy wiedzie droga do zapewnienia wolności zarówno jednostce, jak i społeczeństwu. Ale sprawa tej wolności wymaga dyscypliny społecznej — dyscypliny pracy, dyscypliny obywatelskiej, przestrzegania zasad współżycia, chronienia własności społecznej, służenia ojczyźnie i niesienia w razie potrzeby ofiar. Sprawa wolności jednostki i społeczeństwa nakłada więc na obywatela poważne obowiązki, a państwo jest w prawie domagać się spełnienia tych obowiązków. Społeczeństwo ludowe, niosąc ofiary sprawie wyzwolenia, państwo ludowe, którego najwyższą troską jest sprawa obywatela i jego potrzeb — mają prawo żądać tej dyscypliny. Ale najwyższym wyrazem tej dyscypliny jest samodyscyplina. Ona właśnie znajduje wyraz we współzawodnictwie pracy. Jest więc wyrazem — najwyższym, bo świadomym wyrazem — patriotyzmu mas pracujących.

Aleksander Litwin,

W OSTATNIM 12(141) NUMERZE „WSI” z dnia 21 marca 1948 r.:

Alina Nofer — Pamiętniki inteligenta; Genowefa Szturchaniec — Ciepłomania classica; Józef Ozga-Michalski — Wiersze; Władysław Kuszyk — 6 dni Czechosłowacji; Prof. Dr J. B. Kozak — Pogląd na rozwój historii; Prof. Dr Fr. Koverne — Dwa socjalizmy; Prof. Ladislav Stoll — Zagadnienie wolności; Adolf Sowiński — Lata młodości ks. Piotra Ściegiennego; Wincenty Styś — Wsie spółdzielcze na Dolnym Śląsku; Józef Putek — Do radykalizmu; Anna Kamińska — Droga słowa drukowanego; Jannusz Lin — Socjologia amerykańska; Wiktor Heltman — Szlachta i rewolucja; Fakty i zdania: Stefan Mazurek — Wojenna i powojenna droga prof. Frey; M. Koliba — „Tygodniku Warszawski” — cui bono? Konkurs „Czytelnika” i nagroda „Wsi”; Komunikaty, 18 ilustracji, 12 stron.

SPROSTOWANIE

W nr. 8—9 z dnia 22—29 do noweli Marii Pujmanowej p.t. „Truhla” wkraść się błąd, za który przepraszamy Autorkę i Czytelników. Na str. 10, wiersz 7 od góry dokonano nie zdania powinno brzmieć: „aby mógł wejść do niej zły los”.

Witold Jedlicki

O B R A Z N I E M I E C ? ...

(Ankieta „Esprit”)

O wynikach ankiety „Niemcy o sobie” zorganizowanej przez francuski miesięcznik „Esprit” informowała już Hanna Kulagowska w 43 (112) nr. „Kućnicy”. Kulagowska słusznie podkreśliła pomysłowość intencji organizatorów ankiety. Fakt, że zdecydowano się oprócz na wypowiedziach bezpośrednio zainteresowanych, a nie na artykułach najbardziej nawet bezstronnych obserwatorów zasługuje na specjalną uwagę. Tym niemniej w świetle opublikowanych wypowiedzi wydaje mi się dziwnym pogląd p. Kulagowskiej, że przedstawiony na podstawie tych wypowiedzi obraz Niemiec jest pełny i jednolity. Pełny obraz ten być nie może nawet pomimo olbrzymiej ilości zamieszczonych wypowiedzi, poruszających bardzo wiele najróżnorodniejszych tematów na skutek tego, że 1) wypowiedzi te pochodzą wyłącznie z francuskiej strefy okupacyjnej, 2) nie mamy żadnych danych na wiarygodność tych wypowiedzi. Że obraz ten nie jest jednolity, świadczy o tym chociażby dobór cytów przez p. Kulagowską dokonany. Osobiście nie widzę żadnych momentów, które dałoby się ustalić ze wspólnie wszystkim wypowiedziom. Nawet bowiem ogólnie zaobserwowany fakt rozczarowania w stosunku do okupantów u jednych jest spowodowany niekonsekwentnymi denazifikacją, u innych zbyt surowymi sankcjami karnymi, stosowanymi przez okupantów. Nawet zaobserwowane w większości wypadków reakcje psychiczne na istniejącą sytuację także, jak ogólne przygnębienie, ucieczka od rzeczywistości, obawa przed odpowiedzialnością, pewien specyficzny nihilizm nie wydają mi się być zjawiskami powszechnymi; nie występują one zarówno u tych, którzy domagają się zemsty, jak i u tych, którzy zapewniają o swojej gotowości poniesienia pełnej odpowiedzialności za popełnioną winę.

Centralnym zagadnieniem ankiety jest niewątpliwie stosunek do hitlerowskiej przeszłości. Znamienne są głosy — oczywiście anonimowe — pełnej aprobaty tej przeszłości, połączone z konsekwentnie odpowiednim stosunkiem wobec teraźniejszości np:

„Żaden Niemiec nie może zapomnieć tego, co uczynili Anglii i Amerykanie. My ich nienawidzimy z całego naszego serca. My znamy przyczyny wojny i my nie pozwolimy sobie ciosać kółków na głowie, nawet przez miliony głupich dziennikarzy. Ziarno, które zasiał Hitler wszędzie lada dzień”.

Albo inny anonim:

„W państwie narodowo-socjalistycznym wśliznęły się do rządów (jak zawsze po rewolucji) rozmaite kreatury, które popełniły zbrodnie z drogi, których Hitler sobie nie życzył, ale zasadniczo panował porządek, dyscyplina i czystość obyczajów. Kwestia żydowska była postanowiona przez kilku kryminalistów. Naród niemiecki, nigdy nie chciał przesładować Żydów uczciwych, chciał się jedynie bronić przeciwko elementom podejrzany i przeciwko napływowi Żydów ze wschodu.

Wojna była uknuta przez Anglię, Amerykę, Francję i ich wasalów, którzy szukali pretekstu do jej rozpoczęcia. Hitler był oszukany z powodu braku zdolności dyplomatycznych.

Naród niemiecki nie dowodził swojej nienawiści do Francji i nie chciał wojny bardziej niż sam Hitler.

Widzi się teraz, że rozbrojenie było słuszne, skoro wszystkie małe kraje rozwały, jak korzystając z prawa do wzbogacenia się zaanektować kawałek Niemiec.

Odpowiedzialni za naszą sprzedaną prasę (redaktorzy i inne pismaki) pod rozkazami międzynarodowego żydostwa, ciągną naród niemiecki w błoto i rozpowszechniają kłamstwa, które mogą tryskać tylko z mózgow sadystów. Zresztą Niemcy nie biorą ich poważnie. Cze-

goż te orły przekupstwa nie wyobrażają sobie, czegoż oni nam nie narzucają ze swojego kompleksu niższości. Gazety sprzedawane przez wroga kupuje się tylko dlatego, że brak jest papieru, we wszystkich innych celach, tylko nie po to, aby je czytać.

W strefie francuskiej niema dyscypliny. Naród jest zrujnowany, oszukany i okradany. Okupanci zjadają wszystko i sami opływają w dostatki.

Wysłiście uczciwych i porządných Francuzów do francuskiej strefy okupacyjnej, ażeby oni mogli zdać sobie sprawę, że w takich warunkach nie może być mowy o pokoju między dwoma narodami. Przy takiej polityce Stalin będzie szczęśliwym spadkobiercą — ale on zatriumfuje także we Francji”.

Takich, zięjących nienawiścią głosów nie jest jednak za wiele. Poza wiernymi do końca istnieją również nawróceni. Rządziej znajdują się tacy, którzy nie mają z czego się nawracać. Jeden z nich skarży się:

„Prawdziwym antyfaszystom udaremnia się wszelką aktywność polityczną podczas gdy szarlatani polityczni pełnią nadal urzędowanie. W ukryciu, a czasem i otwarcie hitlerowcy szerzą propagandę, której ostrze wymierzone jest przeciw Ameryce, a zwłaszcza Francji. Sami Francuzi ponoszą odpowiedzialność za sytuację”.

Niejednolitość opinii o przeszłości widzi się jeszcze jaskrawiej przy omawianiu zagadnienia winy narodu niemieckiego:

„Dlaczego dzisiaj znieważa się wyjątkowo Trzecią Rzeszę? Dlaczego nie podkreśla się tego, co w niej było dobre? Czy inne państwa nie mają w swojej historii również faktów dobrze i źle o nich świadczących? Czyż nie jest tak, że zawsze najsilniejszy jest najlepszym? Czyż nie ma obozów koncentracyjnych w innych krajach? Czyż obecna dyktatura wojskowa bardzo odróżnia się od systemu rządów Hitlera? Dlaczego zamyka się dzisiaj znowu miliony ludzi w obozach? Czy wierzy się, że ludzie są

przekonani o wyższości demokracji? W ten sposób sięje się tylko nienawiść i niezgodę, ponieważ popełnia się te same błędy, co niegdyś. Nienawiść jest najsilniejsza u tych, którzy mówią o wolności myśli i którzy chcą reprezentować demokrację. My nie znajdujemy właściwej drogi w tym pomieszaniu dobra i zła. Niemcy nie są domem poprawczym i niech nikt nie myśli, że kto sieje nienawiść, będzie mógł otrzymać wzajemność”.

Obok wypowiedzi takiego typu znajdujemy również głosy innego rodzaju np.:

„Masa Niemców została pokonana przez mniejszość. Błąd podbitej części narodu polegał na jej bierności, słabości umysłowej i duchowej. Oczywiście w innych narodach istnieje również nacjonalizm i militarizm. Ale Niemcy, pod rządem Hitlera, wydały jego formę najbardziej agresywną. Słabo i bezkrytycznie rzuciły się w kryminalną awanturę, która doprowadziła do drugiej wojny światowej. To, co się rozumie przez hitlerizm da się zauważyć nie tylko w Niemczech. Ale naród niemiecki był specjalnie przystosowany do tej deprawacji (i to nie bez przyczyn). Ta ciemna strona Niemiec nie musi czynić nas zrozpaczonymi. Lepsza część Niemców oddawała zawsze politykę w ręce najgorszych. Rozum w Niemczech był zawsze bezsilny a władza zawsze antyintelektualna. Można i trzeba to zmienić”.

Jednakże w sprawie tej przeważają koncepcje uniknięcia odpowiedzialności, motywowane bądź niewiedzą o zbrodniach hitlerowców, bądź też niemożliwością przeciwdziałania im.

Sprawą niesłychanie trudną do rozwiązania jest sprawa wiarygodności tych wypowiedzi. To, że Hitler cieszył się poparciem większości swojego narodu pozostaje faktem bezspornym. W większości wypowiedzi daje się zauważyć niewątpliwą odwrót od koncepcji Hitlera. Co jest tego przyczyną? Czy tylko przegrana tej koncepcji? Czy jest jakieś rzeczywiste zrozumienie popełnionego

błędu? Czy wszystkie spontaniczne bicie się w piersi nie są podyktowane po prostu względami oportunistycznymi? Trudno dać jakąkolwiek odpowiedź na te pytania. W miarę czytania budzi się dalsza wątpliwość, czy w planie narodu niemieckiego nie leży pokłócenie aliantów pomiędzy sobą. To niepokojące pytanie nasuwa się przy czytaniu takich wypowiedzi, jak np.:

„My obawiamy się komunizmu, ponieważ już raz byliśmy świadkami degradacji bytu ludzkiego do nicości, do nuleru, do funkcji. Oto dlaczego my nie chcemy komunizmu. Jednakże ja nie jestem przeciwnikiem komunizmu. Rosja zmobilizowała swoje siły i doszła do celu przy takim odmłodzeniu siebie samej, że jest czymś więcej, niż zwykłą ciekawością chęć jej zobaczenia.

Jest również dobrze, że wszędzie istnieją partie komunistyczne, które czuwają, aby demokracja nie przekształcała się ani w wątpliwą idyllę drobnomieszczańską ani w łupieżczy kapitalizm. Komuniści są dźwignią dla demokracji. To, czego ja nie chcę widzieć po raz drugi to rządy monopartii, państwo wszechwładne i autorytatywne. My tego mamy dosyć”.

Albo:

„Niezgoda, jaka panuje pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi z jednej strony, a Związkiem Radzieckim z drugiej strony wprowadza nas w głęboki konflikt. My odrzucamy bolszewizm, jako system o sile antyludzką i antychrześcijańską. Ale my wiemy, że zachodnie potęgi nie występują z tej racji. Im chodzi o obalenie ideału, który jest niebezpieczeństwem dla systemu kapitalistycznego. I jest słuszne, że w tej sprawie jesteśmy w zgodzie ze Wschodem”.

Czy pomiędzy wierszami tych wypowiedzi nie można wyczytać nadziei na trzecią wojnę, która ma uratować Niemcy? Resumując, w każdym razie trzeba pamiętać jedno: ankieta „Esprit” może być traktowana jako materiał do analizy krytycznej, w żadnym wypadku jako obraz aktualnej rzeczywistości niemieckiej.

Lech Budrecki

O POWIEŚĆ KATOLICKĄ

Wołanie na puszczy

Czytałem niedawno „Dziś i Jutro”. Znalazłem oczywiście artykuł (dwie bite kolumny): „O katolicką postawę pisarzy”. Przejrzałem go do końca i wówczas przypomniały mi się błogosławione dni sporów o literaturę katolicką. „Musiał być, musiał być” — wołano zewsząd. A w Polsce jej jakoś nie było. Owszem, dały się znaleźć na łamach czasopism olbrzymie nieraz wydoby o tym jako literatura być powinna. I na tym koniec. A przecież dostarczono już tylu przepisów na „prawdziwie” katolicką powieść, że spreparowanie jej chyba nie było sprawą większych trudności. Wskazano nawet na wzory literackie. Mówiono pisarzowi po prostu: „Bądź polskim Bernanosem”. Nawoływania trwały po dziś dzień, a polskiej beletrystyki katolickiej wciąż nie widać. Owszem, pojawił się naiwny historyzm, pojawiły się ciekawe odmiany manicheizmu, jest powtórka Schulza, są powiastki ułańskie ale Mauriaca nie ma. Na wołanie o „Pod słońcem szatana” — Dobraczyński publikuje „Najeżdźców”, na krzyk o nowego Bloy-Kisielewski odpowiada „Sprzysiężeniem” (a ile tam „plugawego” erotyzmu p. Jakimiak! Strach pomyśleć!). Więc może na Zachodzie dzieje się lepiej? Jeszcze w Anglii... Ale we Francji... Konjunktura na powieść katolicką skończyła się. Staraże się Bernanos, milknie Mauriac a następców dotąd nie widać. Prawicowi katolicy poparli faszyzm, neo-tomiści wymierają. To stwierdzenie ważne, zapamiętajmy je sobie.

Dlaczego więc na wołanie o literaturę katolicką odpowiada konsekwentne milczenie? Gdzie się podział konwertyci, których tylu notował kronikarz ubiegłego 20-lecia?

Przypomnijmy sobie nazwiska rzucane z łamów „Tygodnika Powszechnego” przy każdym wołaniu o „prawdziwą postawę”. Nie, nie będę ich tutaj recytował. To byłoby nazbyt rażące. Zapiszę tylko uwagę wiernego czytelnika: pisarze katolicki w ogromnej swej większości wywodzą się z czasów secesji. Ich rodowód geograficzny: Zachód Europy. To może wyjaśni coś nie co. Czy przypominacie sobie, panowie, książkę Brzozowskiego? Repertuar nazwisk reprezentujących literaturę katolicką niewiele się zmienił od okresu „Legenda Młodej Polski”. Znowu Newman i Bloy znowu Hello, znowu opowieści o „głupim”

wieku XIX. Raz jeszcze dowiemy się, że Wolter był piaski i że św. Teresa z Lisieux naprawdę wzniosła. To uwagi wstępne. A teraz wywód nudny z zasady, bo historyczny. Znaczenie dynastii pisarzy katolików na Zachodzie? Zaczaj! jak Barbey d'Aureville, punktem szczytowym był bodajże Baudelaire. Wszyscy słyszeliśmy opowieści o poetach wyklętych z końca XIX wieku. Wystarczy otworzyć w odpowiednim miejscu „A rebours” Huysmansa, by usłyszeć ich znowu. Ci ludzie nazwali się sami dekadentami, byli ustawicznie głodni, dzielali ubrania szkle, malowali włosy na zielono, obijali się po kawiarniach Montmartre'u. Od nich powstała legenda „Cyganerii”. Przejeli w spadku po Flaubertie nienawiść do aptekarza Homais, nienawiść do „mieszczaństwa”. Pielęgnowali ją starannie. Ci synowie marnotrawni, zbuntowani przeciw spoce wiktoriańskiej, zbuntowani przeciw konwencji dobrych lat własnej klasy, zwalczali je jak tylko mogli. „Leon Bloy nienawidzi burżuazji” pisze Jan Dobraczyński. Ma rację. Leon Bloy jest „anty-mieszczańskim”, ale tylko wtedy gdy przez „mieszczaństwo” rozumiemy zbiór konwencji i komunalów najpowszechniej wówczas przez tę klasę propagowanych. A francuscy mieszczaństwo tego okresu dziedziczyli z ojca na syna kult dla nauki, Woltera i encyklopedystów. Wielcy ojcowie mieszczańskiego kościoła byli ze wszechmiar godni, szczeni i doskonale nietykalni. Katolicyzmem natomiast należało gardzić, katolicyzm to była „reakcja”. Więc z tej racji „poeci wyklęci”, walczący o nową postawę własnej klasy sięgnęli po katolicyzm? Czyż była to jedyna ideologia, która mogła im w rewizjonistycznych zapędach najlepiej posłużyć?

O, na pewno nie jedyna, ale najbardziej atrakcyjna, najżywsza, pozwalająca powiedzieć, że Diderot jest ciasny i że nauka, święte sanktuarium kupców i założycieli fabryk, odgrywa właściwie rolę fetyusza. Poza tym katolicyzm to tradycja sięgająca Chateaubrianda, ultra-romantyków, byłych ministrów Karola X-ego. Przypominacie sobie „Czerwona lilia” France'a? Siegnijcie po nią jeszcze raz, odczytajcie portret Choulette'a. Tacy byli założyciele literatury katolickiej. Nie wierzycie, że oni to secesja? Chciecie trochę dat? Pierwsze książki d'Aureville'ego to lata 50-te.

Villiers to już 1883, Bloy — 1886 r. A w 1898 r. nawraca się jeden z czołowych wodzów naturalistów Huysmans. Wkrótce potem sytuacja się zmieni. Pisarzom „wyklętym” złoży się hold. Wygnani ze sfery towarzyskich bywałe złych kawiarni, piszący wiersze w bibliotekach publicznych wróć do śmierci do sławy, zostaną ojcami literatury. Młody syn episkopa wrzuci się nędzą, w jakiej żył Bloy, Tribulat Bonhomme zapłacze nad losami Villiersa. Zmieni się też linia ataków. Pasja Bernanosa oszczędzi burżuazji, uderzy ją przeraźliwym kaznodziejstwem we „Front ludowy”. Postawa synów marnotrawnych zostanie zrehabilitowana. Podejmą ją oficerowie, dowódcy wojsk kolonialnych, wyżsi urzędnicy Korpusu dyplomatycznego. A zarazem przyjdą systemy laickie. Katolicyzm był dobrą bronią, aż do pojawienia się Nietschego, aż do prorocstwa „Zaratustry” i wznowień „Pokarmów ziemskich”. Dla pokolenia, które wchodzi dziś do literatury neo-tomizm utracił swoje znaczenie. Oni uczą się na Heideggerze i na Husserlu, mają nowe wzory, nowe hasła.

Ta niespodziewana (pozbórnie) zdrada nie tyle wyznawców, co katechumenów — to ostatni wniosek z moich rozważań. Po co więc kresiliłem pobieżny szkic z historii francuskiej literatury? Trzeba się przyznać. Poto, przyjaciele, by pokazać wam rolę powieści katolickiej i rozpaczliwość wołania o nią. Jej okres się zakończył, minął. Nowa postawa mieszczaństwa zaaprobuję niechętnie gniew Bernanosa, za anachronizm poczyta słowa Bloy. Bronią jej już filozofie laickie, bronią umiejętniej i lepiej.

Kiedy myślę o tym, przypomina mi się syn jednego z moich dobrych znajomych, którego największym bodajże marzeniem był rower. Otóż chłopiec ten wołał przy każdej okazji „Rower, rower”, aż do zachrypnięcia. Uspokajał się potem na chwilę i znowu zaczynał swoje. Wydawało mu się, że w ten sposób ułatwi realizację swych pragnień. Pisarze katolicki nie przypominają małego chłopca! On nie dostał roweru. A powieści katolickiej, jeśli mam stać się prorokiem — zawód to ciężki i bardzo ryzykowny — najprawdopodobniej też nie będzie. Ślady wpływów Mauriaca zacierają się przecie i nikną.

SIÓDMY KRZYŻ

(Dok. ze str. 3)

sała się lekko część maszyny z umieszczonym na niej napisem firmowym. Chciał właśnie zdjąć ją, by odsapnąć, gdy został zatrzymany.

Prawdopodobnie jeden z patrolów motocyklowych, zauważył go z autostrady w luce między dwoma domami. Ujrzeni postać niepokojącego człowieka, który z ciężarem na ramieniu kroczył w południowym słońcu. Zatrzymano go bez specjalnej złośliwości, ponieważ zatrzymywano i innych. Zadowolili ich też zupełnie, gdy Georg pokazał im napis firmy.

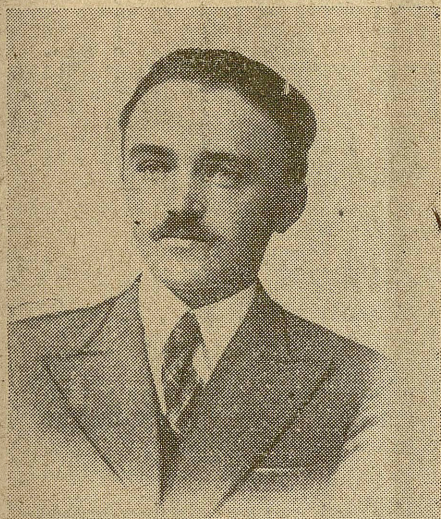
Georg skreślił możliwie jak najdalej od autostrady, w pola, w kierunku wsi Buchenau. Nad wsią do której wkraczał wznosiło się szkliste niebo. Teraz sam już był przeświadczony o tym, że wpadł w pułapkę. Mija dwa posterunki, których spojrzenia, czuje, są na niego skierowane. Gdy tylko znalazł się na drodze prowadzącej przez wieś, usłyszał gwizd, który go przeszył na wylot.

Cała wieś stała na nogach, ze wszystkich stron rozlegają się gwizdy. Komenda: „Wszyscy do domów”. Duże bramy zaskrzypiały. Georg odstawił niesioną przez siebie część maszyny i przecisnąwszy się przez najbliższą bramę, ukrył się za stosem drzewa. Wieś była otoczona. Przed chwilą minęło południe.

tłum. Ryszard Szawłowski

Stanisław Stefan Gębala

WINOWAJCY



Stanisław Stefan Gębala

Stanisław Stefan Gębala — publicysta, poeta, powieściopisarz i dramaturg — pochodzi z małopolskich chłopów. Przed 25 laty, mając 12 lat wstępuje do gimnazjum. Złotywa „wyższą wiedzę”, która ma mu w przyszłości zapewnić lepszy byt. I to jest pierwszy ważny etap w życiu Gębali. Matura ma mu dać nobilitację do sfery wyższych. Studia uniwersyteckie przyniosą jednak zawód. Uniwersytety mogą kończyć albo synowie urzędników i ziemian, albo bogatszych chłopów (lata 36—39). Gębala musi zarabiać na chleb pracą ręk. Jest robotnikiem na budowlach w Warszawie. Ta nowa deklasaacja tym razem oznacza upadek. Pierwsze wyjście ze wsi było drogą do ówczesnie pojętego awansu, nieosiągnięcie go oznaczało klęskę. Tym bardziej, że Gębala — robotnik nie wie, co się w szeregi rewolucyjnego ruchu robotniczego. Poczucie bezużyteczności społecznej i zarazem brak określonej funkcji społecznej podkopuje w nim zaufanie do wiedzy racjonalnej, do cywilizacji technicznej. Następuje zwłazanie się z Niemcami, wejście w problematykę ideową „ludomani”, odrzót w mit słowianizmu.

Nowy ważny etap w życiu Gębali — to wojna. To, co nie dojrzało jeszcze u „robotnika” Gębali dojrzało — po powrocie na wsi w pracy konspiracyjnej i partyzanckiej (w której Gębala traci wzrok podczas wyrobu min własnej konstrukcji). Spływa mu z oczu zasłona dawnych mitów. Gębala opowiada się po stronie demokracji ludowej. Zrywa z A. K. Sełgaję go Niemcy i polskie grupy nacjonalistyczne.

Ten nowy powrót na wsi — już, nie w charakterze zdeklasowanego inteligenta, a działacza oznacza dziś w zmienionych powojennych warunkach społecznych i gospodarczych rzeczywisty awans, po jaki trudno było sięgnąć przed wojną. „Winowajcy” Gębali charakteryzują ten właśnie najgorętszy podczas wojny okres przemian, dokonywujących się na polskiej wsi.

T. P.

500 ŻŁ GRZYWNY

Brat mój Kazimierz, właściciel zaprzęgu, otrzymał z urzędu gminnego wezwanie do odrobienia świadczeń drogowych. W dniu 18 sierpnia ub. r. miał się stawić przed urzędem gminnym z furmanką we dwa konie, skąd miał odwieźć powiatowego instruktora rolnictwa do odległej wsi. Instruktor udawał się na lustrację pól w związku z akcją przeciwpłonkową. Brat stanął dwukrotnie za przebiegiem przed urzędem gminnym... Tu od woźnego dowiedział się, co zaczął ten powiatowy instruktor, a ponieważ znał go z czasów okupacji, więc rzekł do woźnego głosem zbyt podniesionym, aby brzmiał przyjaźnie — Co? Ja jego będę woził? — Niedoczekanie jego i wasze...

Instruktor nie udał się na lustrację pól ziemniaczanych. Po ukończeniu urzędowo długiego czasu, otrzymał brat mandat karny. — „No to jak to jest? — mówił — Za Niemców musiałem go wozić, bo byłby żandarmów na mnie nasał, i teraz muszę go wozić, bo mi mandat pakują... — Naprawdę na takie porządki”. Porządki te mają swój smutny początek w pierwszych miesiącach okupacji, kiedy to zjawili się w zapadłej naszej gminie ubogo odziane chłopaki, pełne ambicji i wstrętu do fizycznej pracy. Zjawili się kolejni: najpierw kontroler mleczności obór, potem ewident hodowli nierogacizny, potem poborca łąki i kołczykarz, mleczarz, kominiarz, agrom i pojawiło się wiele rzeczy niesłychanych i niewidzianych na prawym brzegu dolnego Sanu.

Wszyscy ci polscy urzędnicy niemieckiej administracji szybko porośli w piórka, bo samoobrona chłopów miała początkowo nikły charakter. Za plecami kontrolera, kominiarza i kołczykarza stał niemiecki żandarm, nie wahający się użyć karabinu...

Działalność polskich urzędników, tej dzwonecznej administracji, wcześniej dała się we znaki, niż Majdane, Posków, Oświęcim i różne pacyfikacyjne akcje...

Trudno było o rozbudzenie ducha patriotycznej nienawiści do okupanta, tym bardziej, że niemiecki żandarm najwcześniej zaczął brać się do zachłannej grabieży w cieniu bratniej ludzkiej ciemnej gwiazdy, którzy zdawali się mieć za cel swego życia jaknajwyższe wzbogacenie...

Co miałem powiedzieć bratu Kazimierzowi, który, pewny swej oceny, pytał mnie — jak to jest?

W WIDLACH WISŁY I SANU

Tu leży powiat tarnobrzeński, ten który K. L. Koniński nazwał „ludowo-pisarskim” powiatem, gdzie od 50 z górą lat ludowość i ludowość stoją u szczytu rozwoju... Tu chronił się ks. Stojalowski w ciężkich dla niego chwilach, tu była domena wpływów Stapińskiego i jego „Przyjaciela Ludu”. Tu chłopski strajk miał krwawy, burzliwy przebieg i

tu patronowali ruchowi ludowemu w dawnych czasach dziedzice, w nowszych chłopskiego pochodzenia mecenasi, znani i szanowani... Bo ruch ludowy ma tu dwa nurty: jeden z nich ma pomnik Bartosza Głowackiego na rynku w Tarnobrzegu, zielone sztandary, patetyczne przemówienia i hymn „O cześć wam panowie magnaci”...

Drugi ludowy nurt nie ma tu pomników, chyba że kapliczki, ni to figury przydrożne, ni to pomniki poświęcone pamięci ks. Stojalowskiego, nie ma sztandarów ani hymnów. Nie manifestuje, a jeśli mu się zdarzy przemówić, to przemawia słowami przyspiewki: „Kościół, kryminalny z naszych rąk powstał...”. Kościół dla udręczenia ludzi na duchu i kryminalny dla ich cielesnego cierpienia. „Jedynie krew może cierpienie złagodzić...”, trawstował te słowa Brunon Jasiński — tak szemrał drugi nurt. O nim to pisał w r. 1937 I.K.C. „słowami świętego oburzenia i nieklamnego strachu”...

A jednak w tym ludowcowym powiecie, tam, gdzie od lat 40 Bartosz Głowacki tęskliwie spogląda ku budynkowi starostwa nie było Batalionów Chłopskich. Nie znaczy to jednak, by chłop w psiej uległości dla okupanta byli radzi z kolaboracji i posłusznymi każdemu władzy „z woli Boga”. Powiat dał olbrzymi kontyngent krwi, chłop z tego powiatu najęściej zasiał trupami swoje zagony, może największe dali wkładu w dzieło zwycięstwa.

SZARA GODZINA

Na ruch ludowy ludowcowego powiatu przyszła szara godzina, nie zaczęła się ona jednak w dniach pamiętnego września. Zaczęła się o wiele wcześniej, wtedy gdy przemawiał do tysięcznych tłumów na burzliwych manifestacjach znany szeroko mecenas, syn chłopski, w swych przemówieniach zapewniał chłopów, że ich rząd ujawniono, „solidarność” przyda się, i że solidarnością jest strąć pod sztandarami w dniu święta ludowego. Ze czeka na chłopów, miejsce pośród niasteczek i miast, czeka miejsce na 4 miliony, wiadomo po kim. Mecenasa był duszą życia towarzyskiego miasteczka, i przyjaciele, okolicznych arystokratów, był duszą i natchnieniem miasteczka, na którego rynku Bartosz od lat 40 czeka na pochwałę i klepanie po opacie... Starosta powiatowy własnoręcznie zabił Józefa Szewca w czasie strajku chłopskiego, a działa się to tego dnia, gdy znany mecenas był jego gościem z okazji imienin żony. Prawą ręką mecenasa był chłop z nad Sanu, żwawy i elokwentny, całą duszą pragnący, nietyłe zwycięstwa ruchu ludowego, ile swego towarzyskiego awansu. Bronił go później mecenas przed Sądem o strajk chłopski, on zaś pod niebiosy wynosił prawnicze jego zdolności. W dyskusjach o skutkach chłopskiego „czynu” brat udział starosta i wszyscy, adorując się nawzajem, kontenci życia, które daje jedynemu awansu służbowe, innym awansu towarzyskie, innym jeszcze możliwość przewrócenia masom itd.

Na rynku w Tarnobrzegu stał ciągle kamienny „kumac”, od lat czekając nobilitacji. Na ruch ludowy ludowcowego powiatu zapadała szara godzina...

„PARALIŻOWANIE ŻYCIA GOSPODARCZEGO”

W pierwszych dniach grudnia 1939 r. widywało się we wsiach i miasteczkach naszego powiatu wysokiego wzrostu mężczyzn, odwiedzających różnych ludzi, w tym bardziej znanych i cenionych chłopów.

Mężczyzną tym był „Milski” i jego rozmowy miały zawsze na celu organizowanie do walki z okupantem; całość tej akcji „Milski” nazywał Tajną Organizacją Wojskową (T.O.W.). To, co projektował, przyjmowało się natychmiast. Zbiórka broni i amunicji pozostawionej na terenie powiatu we wrześniu, poza tym niszczenie gospodarki okupanta czyli „paraliżowanie życia gospodarczego”... T.O.W. Andrzeja Jasińskiego zmieniło się szybko w Związek Walki Zbrojnej, a akcja werbunkowa skończyła się. „Nie ilość, lecz jakość”, nie masowa organizacja, ale kadry przyszyły armii.

Ze zdumieniem przyjmowaliśmy postanowienie, że „im gorzej” — „tym lepiej”, że nie wolno dopuścić do tego, by np. chłop zadowolony był z czegośkolwiek, co wyniknie z poczyną okupanta... A chłop był zadowolony z rozproszenia sanacyjnego zbiorowiska urzędników, nagnaniaczy i ze zniesienia znielowidzonego systemu. Radiowe komunikaty z Tuluzy i Londynu utrzymywały nadal przekonanie o rychłym końcu hitlerizmu, aż w czerwcu 1940 r. życie zadało temu kłam... „Jędrus” Jasiński zginął przedwcześnie, delegatem rządu londyńskiego został patron ludowców, znany mecenas, przy jego boku stanął wiernie sztandarowy ludowiec, chłop z nad Sanu, a chłop wcześniej niż admini-

stracja niemiecka, poczuł skutki „paraliżowania życia gospodarczego”, do czego ze specjalnym zamilowaniem i ze znanstwem zawodu zabrała się bardzo liczna rzesza polskich urzędników administracji niemieckiej. W rzadko tu docierającej prasie podziemnej wzywano do sabotowania kontyngentów, polscy urzędnicy mający za sobą granatową policję i niemiecką żandarmerię, wygrywali tę rzecz... „Kubana”*) albo obóz to znak tych nikczemnych czasów...

Wiedzano o istnieniu „wojska polskiego w kraju” i dziwno się jego obojętności na krzywdy Polaków przez Polaków wyrządza. Rosło poczucie potrzeby stworzenia własnej chłopskiej armii, o Batalionach Chłopskich nie wiedzano nie prawie w ludowcowym powiecie, gdzie hetman ludowców był delegatem londyńskiego rządu i gdzie sztandarowy ludowiec stał u jego boku.

W LASACH LIPSKICH

Administracja niemiecka zniósła dawny podział administracyjny, i rzekę San zrobiła granicą „dystryktów”, zróżnicowała też przez to ludowcowy powiat, bo jak wiadomo „dystrykt” Lublin był inaczej administrowany. Obowiązywał tu szczególnie wysoki kontyngent ludzi na roboty przymusowe do Niemiec, obowiązywały wysokie kontyngenty w zbożu i bydłe, a nade wszystko ciężką była robocizna przy wywózce drzewa (do 7 dni pracy w tygodniu na każdego właściciela konia).

Lecz i tu szybko wyszło „szydło z worka”, gdy dowiedziano się, że nie o dni tu chodziło, ale o ilość wywiezionego drzewa... aby w drzewie tym ukryć to, czego dokonała „kubana” sprycciarzy polskich, „paraliżatorów” życia gospodarczego. Poczucie jednoci i solidarności narodowej karłało wśród przekleństwa na „urzędnicze polactwo”, a fakty zadawały kłam temu, co głosiła cedzona przez podziemie prasa podziemna.

Latem 1942 r. zaczęły się palić poręby w lasach lipskich, a wkrótce potem maleńkie wioski w tych lasach, wioski, których nazwy przeszły do historii tych lat, Kruszyna, Lipowiec, Gielnia, Kochany. Poręby palili nie zorganizowani partyzanci z nad Sanu, Niemcy w odwecie palili wioski po lasach. Jesienią w 1942 r. handlarze tytoniowego surowca, bywający w okolicach Biłgoraja, przynieśli „wiadomość” o tym, że chłopci biją się z Niemcami...

Doniesiono też, że w tych okolicach dzieją się straszne rzeczy, że wśród nich zginął niedługo handlarz tytoniu i broni. O broń było łatwo w tamtych stronach... Tam też i wśród takich okoliczności, zginął brat znanego pisarza Jana Wiktora, Franciszek. Wtedy to nad Sanem rozpoczęła się chłopka partyzantka, która miała za cel walkę nie tylko z okupantem ale i polskim, mimo wszystkim, bo z Polaków złożonym, aparatem administracyjnym. Z początku szło to cichem jakby zza węgla... Nie operując nazwiskami i szczerząc tym samym hańbę uczciwym skądinąd rodzinom wymieniam: znikł bez śladu kolczykarkę Kalkę na całe życie pozostał sołtys w Ch. Zniszczono bardzo wiele fortun „psim swędem” zdobytych a posterunki granatowych przeniosły się skwapliwie ze wsi do miasteczek. Wkrótce też pojawiły się oddziały G. L-u, wobec tego poszły w cień studenckie organizacje M.O.W. i wojskowe Z.W.Z.-tu.

BORÓW

Już po wojnie postanowiono ofiarom wojny wzniesić kopiec — mauzoleum. Wiele dniówkowych pieszych i konnych usypało ten kopiec, ale szczęśliwy koniec nie ukoronował tego dzieła... Sprawa utknęła na nieprzewidzianej zgoła przeszkodzie: oto komitet budowy mauzoleum zażądał list ofiar walki z najeźdźcą i list tych nie otrzymał. Poszczególne wsi list tych nie dostarczyły, bo po prostu nie mogły... W znanej podpisanemu wsi długo zastanawiano się nad tym, gdzie na takiej liście umieścić, zginęło tu w ciągu tych lat 21 młodych ludzi w czym 1 w 1939 r., 3 padło bezpośrednio od kul żandarmerii, 2 zamęczono w obozach, a reszta?

Ta reszta w przeciwnieństwie do tamtych, którzy zginęli w potrzebie, zginęła bez potrzeby. Po prostu nie owijając w bawełnę, ta reszta wybiła się sama, wyginęła od strzałów zza węgla, i od strzałów w regularnych bitwach bratobójczych, toczonych bardzo często — całymi godzinami, kiedy to sprawa poglądów stała się znakiem dnia.

Wiosną 1943 r. pojawił się N.S.Z. i szukając zwolenników starał się zdobyć sympatię zbrojnych band bez nazwy i organizacji, i nimi wypełnić szeregi swoich oddziałów le-

*) „Kubana” — łapówka, wykupywanie się od świadczeń.

DO KOLEGÓW KORESPONDENTÓW

Dziękuję serdecznie Kolegom za nadesłanie „Głosów ze wsi o latach okupacji”. Termin podaliśmy parodniowy, nie nabył licząc na możliwość dotrzymania go przez piszących. Tymczasem materialny napłynął w ostatnich dniach tak obficie, że przeszły nasze oczekiwania i plan numeru. Tych Kolegów, których nie mogliśmy już wprowadzić do numeru świętecznego (a stanowią większość) — bardzo przepaszamy, obiecując materiał ten rozmiścić w dalszych numerach „Wsi”. Uderzając jest stopień pogotowia Kolegów — Korespondentów: Wszyscy, co Koledzy przysłali było napisane doraźnie, natychmiast po wezwaniu. Jest to rzeczywisty bojowy pogotowie pisarskie. Zjazd Rytwińskiego mocno widać w nas żyje i mocno obowiązuje.

Sprawa kultury wsi polskiej staje się coraz bardziej sprawą ogólną — narodową. Inicjatywa podjęta w tym zakresie przez Biłgoraj, Instytut Prasy „Czytelnika”, „Odrodzenie”, pisarzy, winna się spotkać z naszej strony ze wzmożonym wysiłkiem przedstawienia rzeczywistego stanu wsi polskiej. Nasz materiał i nasz opis to podstawa do właściwych akcji kulturowych, w pierwszym rzędzie do upowszechnienia czytelnictwa.

W najbliższym czasie postawimy przed Kolegami szereg nowych zadań — ankiet, w głębokim przeświadczeniu, że dołożycie trudu i utrzymacie się w terminach. Pisarstwo również może i powinno włączyć się do współzawodnictwa w wielkich przemianach narodu.

J. AL. KRÓL

nach. Ale za pozyskanie tej sympatii miał N.S.Z. przyjąć z pomocą w załatwieniu nierozegranych porachunków. Rozpoczął tu „nocne nauki moralności”, wśród polskich urzędników niemieckiej administracji.

Prowadził „dołowanie” szpiclów i innej nieźle czującej się zgrai, ale ulegając żądaniom tych, których sympatia była mu potrzebna. Zdarzyło się, że jego ludzie zadołowywali urzędnika, członka pewnej organizacji, to znów świadomą celów własnych, a nieświadomą tajemnic swej organizacji sympaty N.S.Z.-tu wykurzyli filara tej organizacji, członka komendy okręgu, czującego się tu nieźle... leśniczego. Byłaby rosła wciąż sympatia dla noszącego na bagnetach „sprawiedliwość”... „wojska polskiego”, gdyby nie Borów „poraz pierwszy”. Nie ma chyba nikogo w Polsce, który o tej bratobójczej masakrze nie słyszał. Oddział G.L., mający na celu walkę z Niemcami, chętnie nawiązywał przymierza z każdym, kto zdawał się mieć identyczny cel... Waleczny ten oddział zawarł umowę o współpracy z oddziałem N.S.Z., a w parę godzin później, uległ masowej masakrze z rąk tego nowego sprzymierzeńca. I tu zaszedł fakt, który może najlepiej scharakteryzuje ówczesne stosunki w okolicy: oto z masakry uszedł tylko jeden żołnierz oddziałów G.L., a uszedł dzięki poświęceniu się swego kolegi, z którym wychowywał się od dzieciństwa, syna sąsiada i członka bandy dokonującej mordu. Uciekł żołnierz G.L.-u dzięki koledze, który go do ucieczki namówił, przewidując maskę całego oddziału. Ten haniebny wyczyn bandy dał jej gwarancję nietykalskości ze strony żandarmów, ale o stworzył oczy tym, którzy jeszcze tydzień przed tym widzieli w niej uosobienie „pol-skości” i walki z Niemcami. Wtedy się zaczęło... Zaczęło się ścieranie poszczególnych grup.

W czasie tej anarchii pierzchli ci, którym było nieźle pod okupacją, uciekli wiedząc, że mogą spaść w ręce grup dyszących zemstą i wprowadzających „wojenną odpowiedzialność” za działalność Polaków.

Uciekli nie wszyscy i Sanem bez przerwy płynęły trupy. Zaczęło się scalanie różnych organizacji w jedną siłę A.K., jednolitość dała powód do dalszej nagonki na bandy rabunkowe i „dzikie”... Te ostatnie, kilkakrotnie wykurzyły delegata rządu londyńskiego na kraj, z zaciśniętym m. p. Niejednokrotnie wlaży w parady regularnej A.K. i one najpierw rozpoczęły dywersję...

One też spowodowały, że „Borów stał się głośnym poraz drugi”... To dowódca, kwatrujących tam stale oddziałów N.S.Z.-tu, zemdlał się. Zemdlał się za to, że coraz ciśnie mu było w tej wsi, że coraz bardziej czuł się otoczony nieufnością i nienawiścią, że buntownicy mu oddawali pytania, o ilość bitew, stoczonych z Niemcami, na które to pytania brakowało odpowiedzi... Poza to wsi groziło temu dowódcy, ni mniej, ni więcej tylko suchą gałęzią i strykiem. W dniu 2 lutego 44 r. wyszła banda czoł, spalając Borów... Przeszła rzekę San, równocześnie z oddziałem żandarmerii w odległości 100 kroków od siebie... Nie padł z żadnej strony strzał... Borów znikł z powierzchni ziemi, około półtora tysiąca ludzi różnego wieku i płci, znalazło śmierć, a wszystko to, co się działo było jasne i zrozumiałe... A tymczasem na lewym brzegu Sanu było ciągle cicho i mile...

Gdzieś tam upelowano kasę, gdzieś sprzątnięto żandarma, gdzieś tam czytano „Czyn”, „Walke” i „Polska żyje”. Chłopi dostarczali kontyngentów Niemcom w dniu, organizacji nocą.

Tak musi być i tak jest dobrze — mówiło się głośno, klnąc po cichu... To dziś łatwo jest mówić o walce z Niemcami, wyliczać sukcesy tej walki, ale trudno jest mówić o morale tej walki... Trudno także mówić o tym, że jej metody przeżyły lipiec 1944 r. i front nad Wisłą i przedłużyły się, aż do smutnych epilogów poza wyrokami Sądu Rzęplitej, i poza kratami więzień.

EPILOG DAWNEJ SPRAWY

Dziś powiat, w którym nie było Batalionów Chłopskich, który niewiele miał zniszczeń wojennych, w którym wybudowano po wsiach setki nowych domów, w wywazywaniu się z powinności podatków stoi na ostatnim miejscu w województwie, mimo, że ani ubóstwo jego mieszkańców, ani liczny a fachowy personel jego urzędów, nie tłumaczą tego stanu rzeczy.

Ale ta apatia kończy się. W dniu 28 stycznia b.r. rozwiązali chłopci ogólną uchwałą powiatowy zarząd P.S.L., sztandarowy zaś ludowiec, chłop z nad Sanu, a dziś osadnik pod Wałbrzechem bije się w pierś w poznaniu własnych win. Dawny delegat rządu londyńskiego wycofał się w zacisze kancelarii adwokackiej, a na czołowych stanowiskach pojawiają się nowi ludzie.

W powiecie, w którym „Wici” wiodą dy-chawiczny żywot, po wsiach, które były przedwojenną domeną ich wpływów, pracują liczne koła Z.W.M. i koła P.P.R.-u. Życie przeszło ponad dawną sprawą, a o przyszłości zadecydują bardzo liczne zastępy młodzieży z powiatu, której pełno w 3 gimnazjach w powiecie, w jarosławskich szkołach przemysłowych, w szkole mechanicznej w Stalowej Woli. Winni są niech przeżywają goryczne rozczarowania, i niech się biją w pierś... Siewcom wiatru nie udał się siew... Ich sprawa to durna sprawa.

*) Pierwsza sztuka w nowej Polsce „na scenie ludowej” o robotnikach, to sztuka Gębali — pt. „51 robotnik”.

Tadeusz Różewicz

W I E R S Z E



OPOWIEŚCI O PRZEDWIOŚNIU

Wilgotne są usta żony
słone i smutne
biała skóra snu zimowego
bezbrowna i jawna.

„Widzisz — za oknem
jak na modrej gałęzi
dojrzało złote słońce

Małe ptaki mrozu gęsto szczypią
szeroką twarz kobiety

nasz pokój wyciosany
w jasnym jesieniu
ma barwę sześciokątnej komórki
plastra miodu i
cisza jest tu słodka

moje ręce są sine
oto łapy niedźwiedzia
który smakuje
dzień za dniem
miodowy miesiąc
wypełniony jak pień lipy
złotymi słojami.

Zamknąłbym na zawsze
bielmo tego krajobrazu
i został
ale czuję jak woda
marszczy się
pod pokrywą lodu
dotykana okrągłymi
jak o
pyszczkami karpi
i widzę srebrne łono
Wisły.

Kiedy rozpękną lodowce
tknięte ciepłymi wargami
pierwiosnków
pierwszy stateczek
dymiący
jak moja czarna fajka
spłynie do Bałtyku...“

Wilgotne są usta żony
słone i smutne
biała skóra snu zimowego
bezbrowna i jawna.

F E N I K S

Krew spłynęła z oblicza ziemi
Światła jak złote pszczoły
światła jak różowe ciała
Światła uchodzą z tej gwiazdy.

Smutno usta deszczu
popielate sprzęty w pokoju
zarliwa pszczoła twych ust.

Moja gwiazda poranna
technie w garść popiołu
iskrę żywą. Feniks iska piórka.

KRTAŃ WOLNOŚCI

Pamięci Augustyna Zoroa
Lucasa Nuneza

Naiwni którzy uwierzyli
że raz się umiera
za słuszną sprawę.

Krtień która błaga
o życie
krtień która porusza się
jak robak
wdeptana w błoto.

Usta światła są doskonale zamknięte
oczy światła są doskonale zamknięte
ciało napelnione przemocą

wyrzucone jest poza mury więzienia
milczenie świata kupione za złoto.

Zduszona butem
siepacza
jest wolność
i godność człowieka.

ALE KTO ZOBACZY...

Ale kto zobaczy moją matkę
w sinym kitlu w białym szpitalu
która trzęsie się
która sztywnieje
z drewnianym uśmiechem
z białymi dziąslami.

Która wierzyła przez pięćdziesiąt lat
a teraz płacze i mówi
„nie wiem... nie wiem“

jej twarz jest jak wielka mętna iza
złote ręce składa jak przestraszona
dziewczynka
a wargi ma granatowe

ale kto zobaczy moją matkę
zaszczute zwierzątko
z wytrzeszczonym okiem

ten
ach chciałbym ją nosić na sercu
i karmić słodyczą.

1947

REDAKCJA TYGODNIKA
„WIEŚ”

ogłasza pierwszy wielki

KONKURS

pod hasłem:

„Wyścig o dobrobyt kraju“

KONKURS DZIELI SIĘ NA DWIE
CZĘŚCI:

I. Pierwsza część obejmuje WSZY-
STKIE DZIEDZINY PRACY ROL-
NIKA, jak np. uprawa, hodowla,
odbudowa i urządzenie gospodar-

stwa, elektryfikacja, budowa dróg,
radiofonizacja, spółdzielczość, za-
kładanie świetlic i budowa domów
ludowych, praca organizacyjna
ogóln. Z. S. Ch. itp.

II. Rozpowszechnianie prasy związkowej przez zjednywanie
prenumeratorów pism Samopomocy Chłopskiej (Gaze-
ta rolnicza „Chłopi”, „Kobieta wiejska”, „Wieś”)

Warunki konkursu:

Konkurs rozpoczyna się 1 kwietnia, a
zakończony zostanie 1 listopada 1948 r.
Pierwsze losowanie nagród dla ucze-
stników, którzy wezmą udział w ZJED-
NYWANIU PRENUMERATORÓW OD-
BĘDZIE SIĘ 15 MAJA r. b. PRZY
UDZIALE CZYTELNIKÓW.

Terminy losowania nagród za wyni-
ski we współzawodnictwie rolniczym
ogłosimy osobno. Będą one związane z
zakończeniem poszczególnych sezonów
pracy w gospodarstwie.

Kto może brać udział w konkursie:

W konkursie (w jednej albo w obu
jego częściach) mogą brać udział: po-
szczególni rolnicy, zespoły gospodarzy,
koła gromadzkie i inne ognia Z.S.Ch.,
koła organizacji młodzieżowych i stron-
nictw politycznych, zespoły świetlicow-
we, zespoły P.R.W.

Warunkiem przyjęcia do udziału w

konkursie jest dowód, że zgłaszający
się OPLACIL PRENUMERATĘ JED-
NEGO Z WYMIENIONYCH pism zwią-
zkowych do końca tego roku (prenu-
ratę na GAZETĘ ROLNICZĄ —
„CHŁOPI” wpłaca się na konto P.K.O.
1-6841, na „Kobietę wiejską” —
1-6842 na „WIEŚ” VII-1070)

1.000 n a g r ó d

Dla zwycięzców w obydwu częściach
konkursu przygotowujemy TYSIĄC
NAGRÓD. Najwartościowsze z nich to:
konie, krowy, siewniki, wialnie, ko-
paczki, śrutowniki, siekaczki, narzędzia
rolnicze, radioodbiorniki, komplety po
100 książek, rowery, kupony na ubra-
nie, skóra na obuwie, nawozy, mate-
riały budowlane, sprzęty kuchenne,

cenne narzędzia i aparaty ogrodnicze.
Uczestnicy drugiej części konkursu
pod nazwą „ROZPOWSZECZNIANIE
PRASY ZWIĄZKOWEJ” zostaną po-
dzieleni na grupy, zależnie od ilości
zgłoszonych i opłaconych prenumerat
i po przekroczeniu przez nich najniż-
szej granicy będą stawiali do losowania
odpowiednich nagród.

GRUPY:

	od	5 do	10	zjednanych nowych prenumeratorów
1.	od	5 do	10	
2.	„	10 „	20	„ „ „
3.	„	20 „	50	„ „ „
4.	„	50 „	100	„ „ „
5.	„	100 „	200	„ „ „
6.	„	200 „	500	„ „ „
7.	„	500 „	1000	„ „ „
8.	ponad	1000		„ „ „

NAJBARDZIEJ WARTOŚCIOWE NAGRODY PRZYPADNĄ TYM UCZE-
STNIKOM, którzy znajdują się w WYŻSZYCH GRUPACH.

Zgłaszanie udziału w konkursie:

Zgłoszenia udziału w konkursie na-
leży nadsyłać do 1 maja r.b. Zgłaszają-
cy powinien nadesłać do Redakcji ty-
godnika literacko-społecznego „Wieś”
(Łódź, ul. Piotrkowska 133) CZYTEL-
NIE wypełniony kupon konkursowy.
Zamieszczamy 2 RODZAJE kuponów:
„A” — dla uczestników współzawo-
dnicstwa w rolnictwie.
„B” — dla biorących udział w roz-
powszechnianiu prasy związkowej.

Do każdego z kuponów uczestnik
konkursu powinien załączyć dowód
pocztowy opłacenia prenumeraty na
rok bieżący, za to z pism związkowych,
w którym staje do konkursu, a w bra-

ku takiego dowodu, należy podać datę
wpłaty, nazwę urzędu pocztowego i su-
mę, jaka została przekazana.

Ponadto: do kuponu „A” trzeba do-
łączyć dokładny opis warunków, w ja-
kich przystępuje, względnie przystąpił
gospodarz, czy gromada (zespół) DO
WSPÓŁZAWODNICZWA oraz CO I
W JAKIM CZASIE ZAMIERZA OSIĄ-
GNAĆ.

Do kuponu „B”: DOKŁADNY WY-
KAZ NAZWISK Z ADRESAMI ZJE-
DNANYCH PRZEZ UCZESTNIKA
KONKURSU PRENUMERATORÓW,
oraz DOWÓD, że PRENUMERATA
ZOSTAŁA OPLACONA.

Współpraca Czytelników

Spodziewamy się pomocy od naszych
Czytelników w projektowaniu tematów
i form współzawodnicstwa. Dlatego też
jest bardzo pożądane, by zgłaszający się
do konkursu w pierwszej jego części
nadsyłali konkretne, szczegółowe pomy-
sły w jakim zakresie przystępują do

współzawodnicstwa i jak ich zdaniem
powinna być ZORGANIZOWANA KON-
TROLA WYNIKÓW ORAZ WYSO-
KOŚĆ NORM.

Dalsze objaśnienia, jak również odpo-
wiedzi na pytania będziemy ogłaszać
na łamach naszych pism.

Ilu zdobyłeś prenumeratorów „WSI”?

Obok wymienionych już nagród redakcja „Wsi”, dla zdo-
bywców nowych prenumeratorów naszego pisma przewiduje
w kategoriach:

I. od 10 nowych prenumeratorów — a) bezpłatną nową
prenumeratę od 1 stycznia 49 r.

II. od 25 nowych prenumeratorów — (a) i b) rocznik
„Wsi” lub książkę.

III. powyżej 50 nowych prenumeratorów — (a), (b) i na-
grody pieniężne (kilkadziesiąt tysięcy zł.).

(Szczegóły w następnych numerach)

Nauczyciele, działacze gospodarczy, młodzieżowi, poli-
tyczni, licealiści, studenci, panowie adwokaci, lekarze, „inteli-
gencja polska”...
przez „Wieś” do wiedzy i znajomości wsi polskiej!

Marian Narcyz Listowski

R Ó Ż E I L A S Y

„Nie czas żałować róż gdy lasy płoną”.

1. ANTONI SIWIEC

Siwca poznałem dokładnie dopiero w 1942 roku i później. To co wiedziałem o nim przedtem, dałoby się zamknąć w kilku punktach.

1) Antoni Siwec, syn chłopca, mieszkanka wsi Klonia Widniówka, urodzony w 1906 roku; był przed wybuchem wojny plutonowym 2. Brał udział w bitwie pod Iłżą (25 km na południe od Radomia), w drugiej między Rejowcem i Krasnymstawem i w trzeciej pod Antonówką. Wzięty do niewoli po trzech dniach uciekł. 3) Już w listopadzie 1939 roku, po powrocie do Chełma nawiązuje kontakty z kolegami. Tworzą tu pierwszą placówkę konspiracyjną, jeszcze bez nazwy. 4) W 1940 roku zmienia miejsce działania. Przenosi się do rodzinnej wsi, leżącej 6 km od Krasnegostawu, by na tym terenie organizować ruch konspiracyjny.

Gdy w 1942 roku musiałem uchościć z miasta bo byłem zapisany na roboty do Niemiec i byli już u mnie trzy razy, znaleźliśmy (ja i młodszy brat) przytulisko właśnie u Siwca. W domu był on bardzo rzadko. Wpadał, zmieniał bieliznę, przespalał się i wychodził. Wiedziałem, że pracuje w konspiracji, nie orientowałem się wtedy, gdzie.

Proponowałem mu kiedyś jakąś pomoc, choćby w charakterze kuriera. Narzucać się było trudno, miałem zaledwie 16 lat. Uczę się — mówił do mnie — Jak będziesz potrzebny nie pomnę cię. A innych też brał do pomocy tylko wtedy, gdy byli niezbędni. Siwec był świetnym konspiratorem. Kiedy coś robił i jak, nikt nie wiedział. Na początku 1943 roku cała wieś była zorganizowana. Właśnie on ją do życia konspiracyjnego pobudził. On zorganizował placówkę B. Ch. On stworzył tzw. trójkę R.O.Ch-a.

Ludzi używał do akcji bardzo oszczędnie. Trudno powiedzieć, że Siwec prowadził swój oddział tylko wtedy, gdy była pewność, że wszyscy wrócą. Może ta pewność nie zawsze istniała — zgoda — tym większa jego zasługa, że umiał oszczędzać ludzi. Siebie tylko nie oszczędzał nigdy.

Była zima. Siwec jechał pociągami z Warszawy. Wioził paczkę pistoletów, aparat radiowy i prasę, wszystko ukryte w wagonie. W Rejowcu pociąg otoczono, wszystkich zamknęto na stacji i legitymowano. Uciekł z kolegą przez bagażówkę. Scigano ich psami. Zabił jednego psa i gestapowca. Gonił go pięć kilometrów. Uciekł. Przyszedł rano w przestrzelonej kurtce.

Inny wypadek. W czasie pacyfikacji wsi Niemienice położonej 7 km od Krasnegostawu Siwec z trzema kolegami wchodzi do posterunku gestapo w środku miasta. Rozbraja Niemców i zabierają 272 tysiące złotych.

Gestapowiec Raszyndorf był landratem Chełma. Siwec mając do pomocy dwóch kolegów dokonał zamachu na Raszyndorfa uczującego się w gronie oficerów i pań z gestapo w zamkniętej willi, w środku miasta. Był to dzień urodzin Hitlera. Siwec dostaje się do środka i strzela do Raszyndorfa.

Sześć wysadzonych mostów. Kilka rozbitych samochodów. Nie wiem już ile unieszkodliwionych Niemców. Trzy zamachy na kata Izbicy Engelsa, są jego dziełem. Jeśli



Porucznik Antoni Siwec w 1943 r. na kilka minut przed zamachem na kata Izbicy, Engelsa, dokonany na szosie Krasnystaw—Izbica.

ktos czytał powieść J. N. Kłosowskiego pt. „Jazmo”, to przypominam mu rozdział XIII pt. „Ocalenie”. W tym uwalnianiu więźniów Siwec brał udział. Był w samym więzieniu.

Może mi ktoś zarzucić, że bardzo chwale jednostkę. Chyba nie. A jeśli go chwale, to chyba dlatego, że Siwec nigdy się nie chwalił. Ilekroć raz skłaniałem go do napisania pamiętników. Nie chce.

Redaktor Król pisał do mnie w ostatnim liście: „Te pierwsze zebrane i opublikowane na łamach „Wiś” głosy, posłużą z kolei kolegom do zabrania się bądź do pamiętników, bądź do opowiadań i powieści”.

Nie bez intencji piszę więc o Siwcu. Może on sam napisze pamiętnik. Może te słowa побudzą go do podyktowania synowi swych wspomnień. W tym, co o nim napisałem nie ma ani słowa przesady. Owszem, to za mało. Obywatelu Siwec. Wiem, że jesteście pil-

nym czytelnikiem „Wiś”. Wiem, że będziecie czytać ten artykuł. Wiedzieć, że o takich jak Wy, nie zapomina się. Proszę, wybaczyć ten urzędowy ton tak oficjalny i to, że używam Waszego pseudonimu zamiast nazwiska. Ale nie o to chodzi, jest rzecz ważniejsza. Za Wasze czyny zostaliście porucznikiem. Na Waszej piersi zawieszono pół roku temu jedenastą medal i krzyż. Wasz syn pokazywał je z dumą. Lecz wiem także dlaczego nie chcecie napisać pamiętników. Jesteście starym żołnierzem, nie chcecie źle mówić (a musielibyście chęć pisać całą prawdę) o swych dawnych dowódcach.

Siwec został oszukany. Otrzymał rozkaz: trwać w konspiracji, nie ujawniać się. Trwał. Ale ci, którzy ten rozkaz wydali, sami ujawnili się. Wielu przez nich zginęło. Wiele razy o mało nie zginął i Siwec. 15 października 1945 roku miał ostatni dzień ujawniania się. Dopiero 13 października Siwec od ujawnionych już w Lublinie dowódców otrzymuje rozkaz: rozwiązać konspirację. Nazajutrz ujawnia się z całą swoją placówką. Zna Siwca, niezwykle czynna kobieta, prawdziwa bojownicza, która prowadziła



Wysiedlona

Józef Bieniek

Ż Y D Z I

Wioska moja miała na sto rodzin ogółem trzydzieści żydowskich. Razem 56 głów. Mieli oni po kawałku ziemi i potrochu gospodarzyli, ale na ogół nieświeźnie, gdyż głównym ich zajęciem był handel.

Stosunki ich z resztą ludności były naogół przyjazne, chociaż niepozbawione obustronnej nieszczeroci. Wyjątek stanowiło parę osób, które czytały osławioną „Samoobronę” i starały się tworzyć jakże iluzoryczną w tamtych stosunkach „suwerenność” gospodarza.

Szum idący z szeregów młodego nacjonalizmu zaczął stosunki te psuć coraz mocniej. Wielu ludzi swoje interesy z Żydami łączyło poczucie skrycie, wstydząc się jawnych kontaktów, jakkolwiek obejść się bez nich nie mogli, potrzebując Żydów niemal na każdym kroku. Tym bardziej, że życie było ciężkie, nędza wielka i groźna brakowało wciąż. Oni zaś pieniądze mieli zawsze i chętnie szli ludziom na rękę, czy to w formie pożyczki czy zaliczki na towar.

Gdy wojna przyszyła, stosunki te odrazu przybrały formę skrycia, przechodząc z czasem w całkowitą konspirację. I rzecz ciekawa: wielu z serdecznych przyjaciół żydowskich stało się nagle ich wrogami, zaś dawniejsi ich wrogowie, nawet ci z „Samoobrony”, podali im w niedoli pomocną dłoń, ratując niejedno życie.

Nie można zresztą przemilczać faktu, że pomoc ta w wielu wypadkach była po prostu dobrym interesem. Niemniej przecież zdarzały się często-gęsto fakty bezinteresowne, czyste ludzkiej i szczerzej życzliwości, okazywanej mimo wszystko szczerym i nieszczerliwym Żydom. A nawet i to jakiegokolwiek wysokości wynagrodzenie nie równoważyło przecież ceny najwyższej — życia, które tak łatwo złożyć można było za podanie Żydowi pomocnej ręki.

W mojej tylko wiosce za tego rodzaju „zbrodnię” zginęło w Oświęcimiu małżeństwo, trzydziestomorgowy gospodarze, Józef i Weronika Ruchałowie i rozstrzelany został młody chłopak, który „pożyczył” Żydowi kenne kartę.

W marcu i kwietniu 1942 r. wysiedlono ze wszystkich gmin powiatu Żydów, spędzając ich do getta w Nowym Sączu, gdzie przebywali jakiś czas. Co dnia jednak, o wczesnym świcie, na cmentarzu żydowskim rozbrzmiewały serie automatów i co dnia liczba Żydów malała. Na cmentarz szli starzy, na transport kobiety i dzieci, a młodzi do brygad roboczych, kierowanych do różnych prac na terenie GG, w samym Sączu, i przy budowie dróg węża różnowskiego.

Nie mogę zapomnieć pewnych zdarzeń. Był któryś dzień lata 1942 r. Na błoniach między Dunajcem, a miastem spędzono z

kursy sanitarne wśród dziewcząt wiejskich, a była najlepszym kurierem okręgu, powiedziała mi kiedyś: „Zdradzono nas, ale my wyszliśmy z honorem niesplamionym”.

Bukiet biało-czerwonych róż stał często na Waszym stole. Róże w lasach nie kwitły. Ale róże mają kolce. Piszcie pamiętnik obywatelu Siwec!

2. PIEŚNI I DYMY

Nie wiem, czy który z kolegów niosących wkład do dzisiejszego numeru przypomniał sobie o tych partyzanckich piosenkach i pieśniach. Zebrano ich już wiele. Pieśń o dziewczynie i partyzancie, o białych, wyszywanych orłach, pieśni o boju leśnym i nocnym, piosenki o szwabach wiejących z Polski i wiele wiele innych.

Przypominam sobie, że kiedyś „Biuletyn Informacyjny” rozpiął konkurs na pieśń partyzancką. Już wtedy pisałem wiersze i układałem słowa partyzanckich pieśni pod znane ogólnie melodie. Pomijam ich wartość artystyczną, wiem przecież, że były słabutkie. Nie pokazywałem ich już potem nikomu. Potem, to znaczy, gdy poszły już w

niepamięć. Dziś wiem, że jedyna ich wartość, to dokument w notatniku, dokument następujących po sobie myśli ówczesnych i dojrzewających przekonań.

Przez długie cztery lata nie miałem sprawdzianu, nie znałem nikogo z kim mógłbym na temat moich wierszy mówić. Pewnego razu Siwec przedstawił mi jakiegoś byłego profesora z gimnazjum, który podobno sam pisał wiersze. Nie wiem kto to był, jakiś oficer z AK, który zatrzymał się na kilka godzin. Pokazałem mu kilka wierszy i pieśń partyzancką, zaczynając się od słów:

Czy widzisz płonącą wsi dymy

i braci ginących w obozach?

My leśni żołnierze musimy

pamiętać o braci złych losach.

Naprzód robotnicy razem z rolnikami,

Płonące niesiemy wam wici!

Zwycięstwo przed nami, przed nami!

Zwrócił uwagę na refren i powiedział mi, że to jest pieśń komunistyczna, że tego śpiewać nie wolno, że to: „razem robotnicy z rolnikami” brzmi jak hasło „proletariusze łączcie się”. Ze zapominam o inteligencji, o idealach demokratycznych itp., itp. Według zdania tego pana, ostatnia zwrotka:

I wieśniak dostanie znów ziemię,

robotnik we własnej fabryce,

przekuje bagnety na lemiesz,

lecz razem dziś walczyć musicie.

Naprzód robotnicy razem z rolnikami,

płonące niesiemy wam wici!

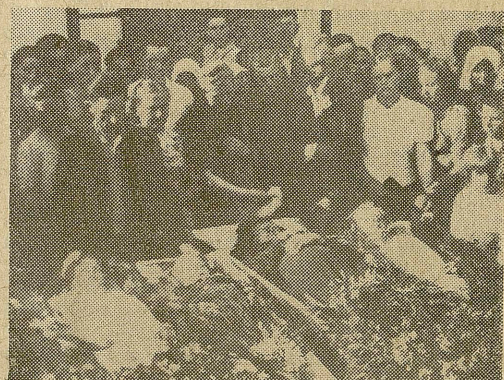
Zwycięstwo przed nami, przed nami!

jest bardzo rewolucyjna, że chodzą mi po głowie jakiegoś mrzonki, że koniecznie muszę to zniszczyć. Że nie powinienem pisać z głowy, lecz uczyć się od Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej. W partyzancie tego śpiewać nie można, trzeba pisać o wolności, o potęgnej i wielkiej Polsce (od morza do morza). To było dla mnie za dużo. Moje pierwsze wiersze i pieśni potępił w czambuł.

A przecież o wolności mówiliśmy z Siwcem zimowymi wieczorami przy partiach warcab, lub lekcjach historii. I o potęgnej Polsce, ale też chcieliśmy przecież rozdzielić majątki dziedziców pomiędzy małorolnych chłopów. Mówiliśmy o fabrykach w Polsce w obcych rękach, nienawidziłem już wojny i marzyliśmy o czasach przekuwania bagnów w narzędzia pracy. Mówiliśmy o czymś co wiązałoby chłopów z robotnikami we wspólnej walce z okupantem. Według mnie miała to być pieśń o nowej Polsce.

Byliśmy rewolucyjni, to prawda, ale komunistami chyba nie. Wkrótce potem w oddziałach pokazały się piosenki o słodkich ustach dziewczyny, o ginącym z honorem rycerzyku-partyzancie, o tym „czy pan w kieszeni ma dolary, bo miłość to jest kawał stary” itp. A przecież partyzant BCH nie ginał za słodkie usta dziewczyny, ani za dolary. Na pewno nie. Kiedy chciał widzieć jasno, otaczało się go piosenką-dymem.

Muszę się przyznać, że obok oburzenia na owego profesora i oficera AK, podrażniona została moja ambicja. Chłopaki chcą śpiewać na wesoło, albo na czuło. To prawda. „Dym”



Ofiary faszystów ukraińskich w jednej z wsi w powiecie hrubieszowskim. Zdjęcie dokonane przez partyzanta B. Ch. w 1943 r.

piosenkowy i mnie na jakiś czas potrosze zagarnął. Napisałem parę według takiej rzewno-durnej recepty. Oto jedna z nich, dokument zadymiania młodych głów, w których się paliło od pytań i rewolucyjnych pragnień:

PIEŚŃ PARTYZANCKA

Na melodię „Prząśniczki” St. Moniuszki z opery „Straszny dwór”.

Czemużeś mnie odbiegł Leonku kochany? Czogo cię zabrali z sobą partyzany? Odjechali sobie, hen, aż za błonie. Powróć do mnie cało, miły Leonie.

Pojechali już nasi, chłopcy morowe W tamte ciemne bory i puszcze jodłowe. I chorągiew mieli i cudne konie. Powróć do mnie cało, miły Leonie!

Hej, jadą za kraj walczyć biedni tułacze, A za nimi dziewczę niejedno płacze. Las im piosenkę śpiewa, ognisko płonie. Powróć do mnie cało, miły Leonie!

Biedne dziewczę płacze od samego ranka, Otoczona ginie polska partyzantka — Gdzież ja tęraz biedną głowę swą skłonię, Kiedy już nie wrócisz, miły Leonie.

Tadeusz Drewnowski

Na boczniczy roz

Polska —
„kraj, gdzie każdy czyn za wcześniej
wschodzi
Ale książka każda za późno“.
C. K. Norwid

POKOLENIE KONSPIRATORÓW

Nie znam życiorysu Bratnego, Zalewskiego i innych. Ich biografie są dla moich celów zbędne. Mnie interesują losy pewnej generacji młodzi intelligenckiej, mieszczańskiej w czasie wojny. Pokolenia 1920—23 z odchyleń. Typowe dzieje tych, którzy w chwili wybuchu wojny mieli po szesnastce, po dwudziestu lat. Równolatków z jednego warszawskiego środowiska, których dotknęły jedne wydarzenia.

Bowiem grupki warszawskich prozaików, o których piszę — nie można oderwać od historii tego pokolenia.

Moje uwagi muszą być schematyczne. Fakty dobrze pamiętam, chodzi o ich zestawienie, przypomnienie i użycie.

To pokolenie weszło w okres wojny z minimalnym doświadczeniem. Starsza nieco generacja (dwudziestopięcioletni i trzydziestopięcioletni), która przed wrześniem zdążyła skończyć wyższe uczelnie, przeszła szkołę samodzielną myśli i zdawała wiele egzaminów z polityki. Chłopcy i dziewczęta z roczników 1920—23 byli najmłodszymi konspiratorami. Jeszcze nie brali udziału w wojennym epizodzie września. Może brali w nim udział jako służba pomocnicza.

To pokolenie błędem byłoby nazywać młodzieżą wojenną, czy młodzieżą frontową. Wojenną — w znaczeniu chowającą się dokoła. Nie chodzili przecież samopas podczas okupacji, ani nie siedzieli przez całe miesiące w okopach wojny pozycyjnej. Dla tej generacji warunki rozwoju stworzyła konspiracja. O skali ich przeżyć zadecydowały wydarzenia, którymi żyła podziemna Polska.

Znaczna część tej intelligenckiej młodzieży od razu zaciągnęła się do konspiracji. Naturalnie — do „oficjalnego“ wojska. Przeszła wtajemniczenie. Jej znajomość podziemnej roboty doszła do doskonałości. Odkryli w podziemiu wzrok. Umieli rozeznaczyć się w zamaskowanym aparacie organizacji. Przeszli żołnierską drogę od rekruta Z.W.Z. do oficera A.K. Służyli w apolitycznym wojsku, które uczestniczyło w wielkich politycznych rozgrywkach.

Najmłodsi konspiratorzy stworzyli własny styl życia. Nie był on całkiem oryginalny. Zalewski opisuje młodego bojowca:

„Te jego długie buty i bryczesy, w które ubierał się uparcie, mimo, że wszyscy znaliśmy opowiadania, że takich właśnie specjalnie zatrzymują żandarmi. Tak samo język, którym się teraz posługiwał, robił wrażenie jakiegoś złodziejskiego żargonu. Krótkie wspomnienie z napadu w miasteczku K. (w prasie konspiracyjnej), pisane było takim właśnie stylem i pan Kowalski przez chwilę myślał, że to może Jasio napisał“ (11). Półwojskowy uniform i żołnierska gwara stanowiły szyk konspiratora. Wzorem dla dwudziestolatków stał się żołnierz — bojowiec. „Jest pan żołnierzem, a żołnierz musi być silny“ — upomina kapitan Prus podchorążego Michała (Zalewski, 75). Obowiązuje ideał mocnego człowieka. Wszelka słabość jest godna pogardy.

Wojskowa dyscyplina wymaga bezwzględności posłuszeństwa. Nie wolno filozofować. Program walki jest w ujęciu bojowca zadziwiająco prosty: „W walce (Paweł — ale wbrew tekstowi czytaj: pokolenie) odgrywa heroiczną rolę. Po prostu: poświęca się za sprawę, które przerósł swoim umysłem i duchem. Gdyby był tutaj ze mną odpowiedzialny, by mi, że on się solidaryzuje z narodem. Nie ma w tym ani krzyku obłudy i żadnego fałszywego gestu. Jednak ludzie, którzy dają światu siebie, ale za to walczą o cały świat, nie pojmają człowieka walczącego tylko o odzyskanie wolności i o pewną ludzką postawę. Oni zdobywają swoje ideały, zarazem zmierzają ku nim, on już przeżył wszystkie, i w sobie ma tylko miarę etyczną swoich postępów. W nim jest ona niezawodna“ (Zalewski, 39).

Przytoczony program nie przypomina wielkodusznych manifestów i uniwersaliów. Młodzi nie nawiązywali do niczyjej bohaterkiej tradycji. Chcieli tworzyć własną eroikę. Nie wyszukiwali historycznych podobieństw, gdyż uważali, że czasy są bez precedensu. Wystarczyła im utopia solidaryzmu ogólnonarodowego oraz mit humanistycznej postawy.

Dziury programu łatano wielkimi słowami, jak honor, ojczyzna, czysta robota.

Wielka moralna problematyka wojny skurczyła się do problemu indywidualnej uczciwości: do zgodności człowieka z samym sobą. Paweł ma w sobie niezawodną miarę etyczną.

Konspiracja była podczas wojny ruchem masowym. Lecz formy organizacyjnej pracy sprzyjały dziedzicznemu osamotnieniu inteligenta. W drużynie bojowej byli przeważnie koledzy z kompletu. Młodzi konspiratorzy nie mieli łączności z przedmieściami. Nie wychylali nosa na prowincję. Tam jawniej wy-

stępowały klasowe cechy naszego ruchu oporu.

„W ciągu sześciu długich lat nie było czasu na „kucia“, na magisteria, na doktoraty. To, co się robiło, było czynione ukradkiem, łapczywie. Czas musiał być przede wszystkim do walki. Wszelkie próby debat, które wówczas wydawały się nam dzieleniem włosów na cztery części, zbywaliśmy krótko. Jak dom stanie, jak będzie nasz, to będziemy kłócili się o tapety i o szlaczki“ (Piórkowski, 66).

Taka była kolejność obowiązków. Naukę, lekturę, „filozofowanie“ odsuwano ad calendas graecas, do bezterminowego odzyskania wolności.

Życie kulturalne było zduszone i doraźne. Nie będę przypominał ucisku. Nie było czasopism literackich. Nie było zawodowej krytyki. Nawet prywatna korespondencja musiała liczyć się z cenzurą.

„Jakaż wymowę posiada to np. — wspomina w nawiasach K. Wyka, rozważając problem pokolenia literackiego“), — że kampanię romantyczną młodzi (romantycy) prowadzą w gazetach granicząc z biuletynem gieldowym i zapiskami meteorologicznymi“.

Ojciec Jasia „...na drugiej stronie (gazetki)

W LABORATORIUM EKSPRESJONIZMU

Uwagę krytyki literackiej zwraca fakt nawrotu ekspresjonizmu w najmłodszej literaturze. Z dawnej ekspresjonistycznej aparatury powraca nie chwyt jeden, lecz cały ich zespół, zasobne ekspresjonistyczne laboratorium.

Przyjrzyjmy się bliżej technicznemu wyposażeniu pracowni, surowcom przeznaczonym do obróbki i gotowym wyrobom. Czy są one tylko świadectwem naszego technicznego opóźnienia w dziedzinie kultury, czy tworczym adoptowaniem dawnych artystycznych pomysłów?

Przed przechadzką po laboratorium trzeba poczynić szereg sprawliwych zastrzeżeń. Nie wszyscy młodzi prozaicy są w jednakowej mierze wyznawcami i entuzjastami ekspresjonizmu. Bratny i Zalewski są ortodokсами, Piórkowski — nieznanym odstępą, Pytlakowski — zupełnym heretykiem. Każde opowiadanie Bratnego i Zalewskiego reprezentuje typową ekspresjonistyczną manierę, nie które opowiadania Piórkowskiego trzymają się jej również konsekwentnie (na przykład — „Korab“). Rozważam tutaj także opowiada-

chodzi o świadome i celowe przeznaczenie świata.

Okno zatrzymuje się na fakturze nowego obrazu, na widocznej konstrukcji i słownej nawierzchni utworu literackiego. Artysta jakby umyślnie podkreślał wobec widza i czytelnika, żeby z portretem, tomikiem poezji i dziwną powieścią obchodzili się z szacunkiem, należnym dziełu sztuki.

Dla tego specjalnego rozumienia dzieła sztuki charakterystyczna jest opinia J. E. Skińskiego o prozie Kadena.

„Powieści Kadena — pisze krytyk*) — są zdaniem moim wyjątkowe przez to, że są w całości dziełami sztuki, że nie zawierają albo w minimalnych dozach element opisowy, informacyjny, w pojęciu naszym nie odłączny od formy opisowej. Autor nie powiadamia nas o niczym, tylko trzyma ustawicznie w atmosferze wizji“.

Inwazja poezji

Proza Bratnego, Zalewskiego, Piórkowskiego wykazuje wiele bardzo pokrewieństw zawangardową poezją ekspresjonistów. Wchodzimy w las poetyckich epitetów, wymyślnych metafor i niecierpliwych skrótów.

„Miała wysokie oczy... później już nadbiegła w strzelistym locie jej oczu — noc“.

Choćby ten fragment nie trudno włączyć do którejś z erotycznych elegii Bratnego o oczach. Należy nieco bardziej zinstrumentalizować zdanie, rozłożyć je na linijki wiersza.

Również grzeszą przeciw epice pozostali prozaicy:

Zalewski: „Ale czaszka była wydrążona z pamięci jak pusty owoc, a serce podskakiwało w piersi jak niesforny łobuz“ (76).

Gdzie indziej:

„Stara wyla bez przerwy, rozmazując jęki po pomarszczonej twarzy“ (29).

Piórkowskiego poetycka proza jest rodem z najgorszych epickich tradycji:

„Grał teraz Rachmaninowa.“

— Czy znasz woń japońskich kwiatów i uśmiech świeżej chryzantemy, która w mojej ojczyźnie jest kwiatem śmierci? Mam właśnie wędrowca, co przeszedł wiele i ani razu nie obejrzał się do tyłu. Na ilu oknach widać twój uśmiech, moja Miła, na ilu sercach widać złością płamę płynącą z twoich oczu. Gdy mrok twój się oddali — ja jak wiecznotrwały cieniasty twój strumień“... (Piórkowski, 75) i tak dalej i tak dalej.

Łatwiej pisać prozą, niż wierszem — dowodzi teoretyk polskiego ekspresjonizmu, Jan Stur (1922)**). — Stąd trudniej pisać pięknie prozą, niż wierszem. Jak długo musieliśmy czekać, by po nieskończonym szeregu „dobrych“, a jeno miejscami — pięknych powieści ukazały się „Żywe kamienie“ Berenta, pierwszy przykład polskiej prozy powieściowej, będący od pierwszego do ostatniego słowa — poezją. Stur pokazuje palcem niedościgniony ekspresjonistyczny wzór. Zapomnijmy jednak o idealnej prozie „Żywych kamieni“.

Do ekspresjonistycznego ideału poetyckiej prozy ciąży język najmłodszej literatury.

Niedomówienia, pytańki...

Dzieło literackie według zadań ekspresjonizmu ma wzruszać czytelnika. Dzieło jest zbiorem podnieć, które muszą wywoływać podobne przeżycia u czytelnika, co i u jego autora.

Jan Stur pisze o zamierzeniu artysty: „Innymi słowy (autor) chce wzbudzić w czytelniku widzu, lub słuchaczowi współuczucie“ (123).

W opowiadaniach młodych prozaików często występuje metoda przemilczeń. Opowiadania są zbudowane jakby z pustych cegiełek. Niedomówienia i pytańki mają wzmacniać zaciekawienie, emocje, zaostreć w czytelniku psychologiczną pobudliwość. Przemilczenia mają dać czas na przeżycie, wzbudzić żywy współudział poznawania.

Przez wysiłek fantazji zmierza się do nagromadzenia w czytelniku wielkiego zasobu wzruszeń.

Uczucia, będące najwartościowszym według ekspresjonistów budulem utworów, należy przekazać odbiorcy możliwie w najmniej naruszonym stanie. Muszą się one przedostać z wnętrza autora do psychiki czytelnika bez utraty intensywności, barwy i żaru. Nie wolno ich uproszczać, wystylizować czy ostudzić. Doskonałość pisarska polega na troskliwej pielęgnacji bujnych uczuć i usuwaniu wszelkich przeszkód dla ich przekazywania.

Stur dalej pisze, że „musimy — o ile to możliwe — osłabić znaczenie Mickiewiczowskich słów: „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie“, tzn. przystosować sposób wyrażania się do szukających wyrazu uczuć“.

Za jedynym kryterium wielkiej twórczości ekspresjonistów uznają zgodność każdego jej fragmentu z prawdą życia wewnętrznego. Artysta troszczy się o zniesienie wszelkich założeń na drodze wypowiedzenia się jego duszy. Należy również usuwać zbędne punkty kontrolne, na których mogłyby przeżywać stracić swój naturalny wygląd. Rozumowy filtr jest zbędny, a nawet szkodliwy. Nie ma innych kanonów piękna prócz wierności własnemu przeżyciom. Uczucia wtedy nie tracą rumieńców, gdy ujawniają się spontanicznie.

Takich protokołów wewnętrznych zwierzeń jest wiele na każdej kartce książek młodych prozaików. Zdania są tutaj płynne i na

*) Czachowski, Obraz współczesnej lit. pol. tom I/1.

**) Jan Stur, Na przełomie — o nowej istocie poezji. Lwów 1922.



Drewnoryt Jakuba Steinharta

ilustracja do jednego z ekspresjonistycznych opowiadań

znalazł wiadomość o zabiciu gestapowca, o napadach na pociągi niemieckie, długi artykuł o egzekucji publicznej i krótkie wspomnienie jakiegoś bojowca“ (Zalewski, 10). Opowiadania młodych prozaików są najczęściej wspomnieniami bojowców, żołnierzy, jeńców. Sąsiadowanie tych krótkich opowiadań z komunikatami o wykonanych wyrokach ma jeszcze wyraźniejszą wymowę.

Paweł, Jasio i Bończa wykonują coraz więcej bojowych zadań. Robi się coraz goręcej. Są ścigani przez gestapo. Zagrożeni uciekają do lasu. Wojska radzieckie dochodzą do Bugu. Czy młode pokolenie konspiratorów nie dostrzega jeszcze błędów podziemnej polityki? Są rozczarowani obrotem wypadków. „I powiedz, dla kogo oni teraz giną, dla kogo?“ — pyta zawiedziony Bończa po utracie kilku towarzyszy. I jeszcze jeden ogromny fałszywy — powstanie warszawskie. Od entuzjazmu do zawodu. Żołnierze i oficerowie powstania warszawskiego szli do niewoli niemieckiej wówczas, gdy wolność była za Wisłą.

Na tym momencie urwijmy losy pokolenia. Choć do tej najogólniejszej konstrukcji, do której wiele bardzo można dodać, nic — ująć, użyłem na równych prawach urywków z literatury i z życia, choć jedno zdania umieściłem w cudzysłowie, inne — bez cudzysłowu, nagromadziłem moim zdaniem jednakowe dane z dziejów pokolenia. Niektóre bowiem postaci i opisy można z książek młodych pisarzy przenieść do życiorysu pokolenia jako autentyczne. Te wycinki mają przynieść prawdziwość. Ale mógłbym je policzyć na palcach, jest ich tak niewiele. Dlaczego?

**) Przegląd socjologiczny 1939.

*) Roman Bratny, „Ślad“, wyd. E. Kuthana, Jerzy Piórkowski, „Niepodlegli“, Spół. Wyd. Wiedza, Jerzy Pytlakowski, „Wielki cień“, Spół. Wyd. Czytelnik, Witold Zalewski „Niesmiertelni bohaterowie“, wyd. E. Kuthana.

woju literackiego*

wszystkie strony powykręcane. Nie przywiązuje się wagi do pełnej i regularnej budowy zdania.

„Ręce! Znaleźć ręce człowieka, które kochają, a są blisko, dbają o głowę, otaczają. O!... ale znalazł w końcu spokój w jej wysokich oczach i miłość. Wierzył, że zwycięży. Jej ręce. Odechdzi z trudem. Ciężej”. (Bratny, 53).

Potoki niekontrolowanych wynurzeń płyną przez prozę tych pisarzy. Bez pośrednictwa i kontroli rozumu, podniety i bodźce mają się w psychice czytelnika przemieniać na jego własne przeżycia.

Bratny (w „Śladzie”) opisuje reakcje słuchaczy na opowiadanie jednego z młodych zamachowców:

„Po tych kilku, czy kilkunastu może minutach milczenia ludzie drgnęli i poprawili się w fotelach”.

Wewnętrzna przygoda

„To, co się we mnie dzieje, czego dostrzec, usłyszeć, dotknąć się, żadnym zmysłem uchwycić nie mogę, co jedynie odczuwam i w co wierzę — stwierdza w programowym artykule „Czego chcemy” Jan Stur — jest rzeczą ważniejszą, prawdziwszą, wzniolejszą niż wszystkie objawy zewnętrznego, dotykającego świata (131)... Chcemy dać jak najwerniejszą, jak najpotężniejszą, jak najbardziej bezpośrednią wypowiedź nagłej duszy; a więc duszy kryjącej się wprawdzie także w przejawach życiowych, ale nie odgadanej przy pomocy ich wyglądu, starć, zmiennej ruchliwości... Zdaniem naszym pokazując rzecz samą w sobie wyrażamy ją prawdziwie, nie narażając się tak dalece na fałszywe wnioskowanie, nie mogąc tak łatwo popaść w błąd, jak w tym wypadku, w którym przedstawia się ją niby człowieka ukrytego w szacie” (130).

To, czego chcieli polscy ekspresjonści czterć wieku temu można by nazwać naturalizmem duszy. Przyznawano największą realność psychicznym odczuciom, miłości, weselu, złości, i zwątpieniom.

Wojna w opowiadaniach najmłodszych prozaików jest wielką wewnętrzną przygodą. O zewnętrznych, obiektywnych jej przejawach powiadał się czytelnika zaledwie o tyle, o ile są one niezbędnie potrzebne dla pokazania wewnętrznych widoków. Z wielką wojną obcuje tutaj jako z subiektywną wizją, młodych konspiratorów, płodem ich wybujałej wyobraźni.

Monolog, zaprzepaszczonej omal całkowicie przez naturalistów, przywrócony przez neoromantyków, tutaj jest wszechwładny. Stał się najdogodniejszym instrumentem dla pokazywania psychicznych popędów i konfliktów. Pod pozorem największego obiektywizmu uprawia się skrajny subiektywizm. Nie ma rygorów obiektywnej motywacji. Cały ciężar tych niewidocznych i niedotykalnych tarapatów dźwigają bohaterowie powieści. Gdzie kończy się monolog bohatera, a gdzie zaczyna się glossa pisarza, w tej pokrętej prozie niewiadomo.

Jak w perspektywach tych wewnętrznych przygód wyglądają realia okupacji? Niemcy — to jakies niewidoczne ręce, które rzucają granaty i strzelają z maszynowej broni, albo cienie nie z tego świata, których bardzo się boimy. Niemcy — to przedziwne zjawy, którym zawdzięczamy te niespotykaną eskapadę w krainę dziwów. Niemcy — to ekspozycja w iluzjonie, do którego zachodzą poszukiwacze wielkich, prawdziwych przygód.

„Społeczne konflikty występują tu w rytmach Posłuchajmy dwóch fragmentów: „Janek (podczas napadu na fabrykę) laził po wielkiej sali ze stenem pod pachą. Robotnicy pracowali w milczeniu. Błazni wspominali chyłkiem spojrzyniami rzucającymi na agenta „Jiki wrzask, jaki ten rozpętał przy wejściu do sali, gdy dziesięciu ich wybrał do zaadowania pak na samochody. Reszcie kazał pracować.

„Unser Vaterland braucht Medizin. Europa braucht leki, pracować — przetłumaczył łaskawie. Uśmiechali się podłe i tchórzliwie. Miał ochotę krzyknąć im:

— Patrzcie, jak się żyje, jak się walczy, olajzy” (Bratny 61).

„A obok w sąsiednim pokoju mówią o tobie, jak o bohaterze. I dobrze — to przecież nim jesteś. Te bandaż na piersi — białe. Te róże — czerwone. Polska to jednak wielka rzecz. A oni — ci ziemianie też nie są tacy żli. Kiedyś miało się do nich pretensje. Stare, głupie historie. Zły los młodziemna na kondycję. Wstyd. Ale teraz...” (Zalewski, 75).

Tarcia społeczna, jak w świecie wyjętym spod prawa ciążenia, znika. Istnieją przecież tylko osobiste sympatie i antypatie, własny świat wewnętrzny sprzymierzeńców i wrogów. Toteż wobec społecznych antagonizmów wyaża Zalewski pełną beznadzieję:

„Księżyce przegląda się w kałużach, nad lasem pędzą tabuny siwych chmur. Ziemia gna — dokąd?” — tak kończy się jedyne w całości poświęcone społecznej problematyce opowiadanie pt. „Mrok”

Rzadkie wiadomości o zewnętrznym świecie są podawane w psychologicznych kategoriach. W prostym opowiadaniu wewnętrzną przygodą może się jednak wydać nie do wiary. Dla prawdopodobieństwa trzeba ją jakoś na nowo zainscenizować. Poustawić dekoracje w postaci układow wrzucenionych i nastrojowych kompleksów. Wówczas dopiero przez podobieństwo odczuwamy smak przygody. („Ale jakże miał — jeden z bohaterów Bratnego (85) — taka bladość (przy-

godę, której omal nie przypłacił życiem) opowiadać ludziom, którzy patrzyli nań wyciekając...”). Zupełnie nie ważne są zadania bojowe zamachowców czy wykolejający pociągów. Informuje się o nich przypadkiem; równie dobrze można je pominąć milczeniem.

Przeżycie jest miarą wszystkiego. Jeden z chłopców „wie, że umrze, zginie na polu walki, a nie umie tego porządnie przeżyć. Niechętnie pomyślał o sobie, że nie potrafi wydać umrzeć” (Bratny, 98).

Monografie minut

W miarach ludzkich psychik nie obowiązują prawa godzin i minut. Zegarki idą według czasu, którego jednostką jest przeżycie. Tych przygód wewnętrznych nie da się obserwować z naszym zegarkiem w ręku. Czas wewnętrzny przystaje, zwalnia albo rozbiega się, pędzi zależnie od okoliczności. Czasem minuta rozrasta się zgodnie z prawami psychicznej rozciągłości i zajmuje pojemny wycinek czasu.

Chłopcom, którzy zamurowani w piwnicy oczekiwali śmierci, moment wydał się wiekiem.

„Jak wyjdziemy — górą, czy wybijemy mur tego fryzjera? — zapytał któryś — dosyć siedzieliśmy w tej piwnicy.

— No, nie dłużej, niż minutę, chłopcy, powiedział Mocny, siadając na ziemi”. (Bratny, 101).

Dane są w tych krótkich opowiadaniach jakby monografie minut. Na przykład „Ślad” i „Minuta” Bratnego — to typowe psychologiczne monografie osobliwych minut. Moment wielkiego przeżycia ma swe dalekie psychiczne rodowody. Chwila posiada swoją historię, dzień wewnętrznych narodzin i okres psychicznego dojrzewania. Dopiero na tym „historycznym” tle są widoczne we właściwej proporcji momenty kulminacyjne.

W „Maskach” Zalewskiego i w „Śladzie” Pytlakowskiego w ramach ważnego przeżycia pokazano związki między teraźniejszą chwilą a psychiczną przeszłością.

Otrzymujemy jakby skróty momentalne życia. Pozornie narzucają się tylko zespoły luźnych, niepowiązanych przypomnień i skojarzeń. Nie ujmują się ich w żadne uporządkowane logicznie rozumowanie, czy w sztuczną perspektywę. Ciągi asocjacji okazują się jednak ze względu na swój artystyczny cel zwartym, spójnym wzorem. Psychiczne akty odkrywają narastanie wewnętrznych treści, aż do ich szczytowego momentu — głównego przeżycia.

Subiektywna wizja świata jest pełna pęknięć i luk. Odpowiada jej zawiły rysunek formalnych załamów (szczególnie w „Maskach” Zalewskiego i w „Ostatniej bitwie w bohaterskim stylu” Pytlakowskiego). Pisarze wykorzystują prawie wszystkie możliwe środki wyrazu. Tok normalnego opowiadania gwałtownie się załamuje. Po trzech krokach nieskończonego zdania zaczyna się nowy nurt opowiadania. Na różnych płaszczyznach i planach biega równocześnie rozmaite relacje. One tworzą jakies duchowe przetrzenie, w których rozgrywa się psychiczne dramaty.

Człowieka mierzy się w tych opowiadaniach, tak jak chciał stary Goethe, najwyższymi a nie najbardziej poziomymi chwilami jego życia. „Sluszenie! — przytakuje Stur — Albowiem podstawy nasze są równe. Różniemy się tylko wierzchołkami” (154). Poziom stanowi pogardzana przeciętność. Ludzie nie są klasyfikowani na zasadzie jakiegoś bezwzględnie dobra i zła, wyróżnia ich każde nadzwyczajne duchowe napięcie.

Krajobraz ruchomy

Nie tylko wnętrza bohaterów tych wojennych opowiadań są szarpane niepokojami i rozrywane nagłymi wybuchami wzruszeń. Wchodzimy w przedziwny świat, w którym się wszystko porusza.

Nie dziwi nas, że w oczach pijanego Hansa „ulica szła niepewnie, zataczając się aż gdzieś za ostatnią latarnię. Słup przystanku chwiał się”.

Zamiast statycznych trwałych krajobrazów wprowadza pisarz dramatycznie uruchomione siły psychicznych odruchów. Ruchliwość krajobrazów staje się kanonem każdego opisu.

Kilka choćby przykładów zorientuje nas w prawach tej ruchliwości. „Czarne osmolone drzewa wylęgają w niebo konary” (Zalewski 127). „Nagie konary drzew wrastały w niebo tragiczne i meskie” (Piórkowski, 45). „Kłębąca się między drzewami noc dźwigała unie horyzontu. Nad nią i nad lasem chodzą chorągwie wiatru” (Piórkowski, 61).

Prócz tych sił, które tkwią jakby w samej naturze i powodują jej wieczną zmienność, są inne motory poruszające scenę. Człowiek stanowi zawsze punkt obserwacyjny, centrum przyrody. I wobec tego „pod koła przydużonego na gazie „Izika” podbiegały pierwsze deski mostu” (Piórkowski, 192). a nie auto wjeżdżało na most „Wyżej, jak człowiek całym wysiłkiem mięśni pnący się pod górę, szczytym łukiem świeżej zieleni podbiegały zagony ziemniaków”.

„Namyślał się... w dodatku czy nie zdąży wyskoczyć i zjeść coś, w którejś z restauracji mijających tramwaj szybko i bezpowrotnie” (Bratny, 108).

A nawet wówczas, gdy wydaje się, że widok musi pozostać nienaruszony działaniem praw ruchu, przynajmniej w pośredni sposób pisarz przypomina o obserwatorze:

„Groźna nuda porozwalanych domów, pokrytych ceglannym pyłem i sadzą — to było

przeważone przez czystość, radość jesiennego chłodnego poranku”. Na wagach krajobrazu odważa się psychiczne stany patrzącego.

I znowu do tych narzucających się czytelnikowi spotrzeżeń doskonale pasuje jedna z anegdotek niewyczerpanego Jana Stura:

„Kupuję coś niecoś u przekupki. Ja sam jestem dla siebie centrum świata: owa przekupka — to dla mnie epizod, jeno złudzenie optyczne” (181).

Zjawiska przyrody są tylko epizodami, zmiennymi, coraz nowymi, raz pojawiającymi się, a raz znikającymi. Natura podlega prawom nieustannego ruchu, prawom zależnym od psychicznych doznań i złudzeń. Ekspresjonści odrzucili kopernikański pewnik: zatrzymali ziemię, poruszyli słońce.



Okładka do Oskara Kokoschki „Chłopców we śnie”

Szpital wariatów

Sporządziłem na własny użytek długi spis realiów strasznego świata, w którym rozgrywa się wojenne dramaty młodego pokolenia. Na podstawie tego indeksu można młodych pisarzy dość uzasadnienie nazwać kolekcjonerami psychopatologii.

Majaki, przywidzenia i urojenia, jęki i stękania ludzi, tortury wzruszeń i przeżyć, cienie i senne zwydy, kocury i staruchy — to tylko krótki wyciąg dziwności i niezwykłości tego świata. Nawet najzdrowsi zdawali by się spośród bohaterów przechodzić piekło halucynacji: „Głos Andrzeja brzmiał dysonansem i chociaż wiedział dobrze o tym, ale przecież skąd tyle blasku w oczach Krystyny, czegoś Bońca szuka, czegoś chce? — Węgry, Krystyna...” — majaczy Andrzej. Te psychiczne nienormalności stawiają bohaterów obok takich postaci Kadena, jak Dymek (np. w czasie zebrania studentkiego w „Prochu”), czy Koza (na sali sejmowej — w „Mateuszu Bigdzie”).

Wielu ludzi występuje w maskach. To nie karnawałowa maskarada. Po świecie poetyckim biega starożytne Erynie:

„Z tym uśmiechem bladym i leniwym jak z maską w gipsie (Korab) już pozostał, skurczony i czujny” (Piórkowski, 105).

„Z szeregu występuje żołnierz. Ma on na twarzy tragiczną maskę, odlaną z gipsu, taką jakich używano w teatrach greckich. Oficer zwraca się do Michała: Podchorąży, umiecie rozstrzygnąć, czy żołnierz ten — wskazuje na maskowanego — żyje czy nie?

Michał przestał się bać. Z zaciekawieniem patrzy teraz na żołnierza, który podnosi do twarzy rękę i wolnym ruchem zdejmując od czoła maskę. Wtedy Michał krzyczy na całe gardło: Józiek” (Zalewski, 69).

Maseczki wzmagają tajemniczość występujących postaci. W ten sposób grają bohaterowie powieści przed sobą nawzajem i zachowują wobec świata swoje incognito. Często w ogóle nie podaje się nazwisk występujących osób, lub odkrywa się je na końcu opowiadania.

Dopiero w zakończeniu opowiadania Piórkowskiego dowiadujemy się, że Korab czekał na jednego ze swych towarzyszy konspiracyjnych. Dotąd można było z równym prawdopodobieństwem sądzić, że oczekiwał na powrót kochanki.

Tajemniczość opowiadania potęguje nieznanym rywalem w Bratnego „Ukochanej”:

„Kto tu był?” — Ach!

Dopiero później w jęku, zdyszaniu, znowu, dopiero wtedy, gdy zaciśniętymi wargami pytał rytmicznie: kto to? kto to? — dopiero otrzymał wyjąkaną i zduszoną odpowiedź: on!”

„Następne dni były gorsze. Dawniej wiedział, że ktoś jest u Marii, meczył się, zagapiał przy pracy, zaciskał zęby. Teraz zawsze widział z nią „Jego” smukłą sylwetkę w mundurze, zaciskał zęby i bał się, w jakiś inny, specjalny sposób bał się. Gdy „go” nie widział...” (Bratny, 52).

I tak na wszystkie przypadki odmienia się przez całe opowiadanie bezosobowego, tajemniczego, strasznego rywala. W końcowej partii dowiadujemy się, że jest nim Unteroffizier Hermann.

Półtony, leki, urywkowe rozmowy, wreszcie bardzo przesadne, straszliwe krajobrazy dopełniają atmosferę grozy.

„Odważnie nurkują w to morze ciemności podniósłszy wysoko ramiona, obciążone karabinami. Nogi rozjeżdżają się gliniastym

bloicie. Płowe i tłuste śpa żołnierskie cholewy i cmoka smakowicie za każdym podniesieniem buta. Twarze obsiadają roje kropli wiszących w powietrzu i roszą je zimnym potem. Plutonowy Mrok próbuje językiem smaku kropli spływającej po twarzy. Jest gorzka... Cholerna noc... taka sama...” (Zalewski, 87).

Kontury rzeczy widzianych są rażąco ostre i wyraziste. Świat opisywany jest często tak jak poniżej u Piórkowskiego w stopniu wyższym:

„Taki to był świat, w który znienacka wciągnął major Szaroń ze swoim batalionem piechoty. Lato było niepodobne do żadnego innego, upalne, niespokojne, gorączkowe dla ludzi i dla przyrody. Gwiazdy zdawały się zapalać w niebie przedzej, świeciły z jakimś jakby purpurowym odbłaskiem i wcześniej gasły, jakby zdmuchnięte przez wiatr świeczki przy lozu konającego. Świty miały przejmujące zimna. Ludzie przedzej dawali się unosić namiętnościom, konie stawały nawet przy plugu dęba i pędziły z wysokim przenikliwym rżeniem po cieniach rżysk. Kobiety przedzej pociły się w miłości” (Piórkowski, 194).

Wśród złowrogich, tajemniczych i niespokojnych obrazów występują ślepi i chromi, symulanci i kaleki. To są przedsiomki wielkiego szpitala wariatów. Weźmy fragment z pamiętnika obozowicza:

„Tutaj jest Marta, która kocha kapitana, a Marta nie z nim... a kapitan nie jest kapitanem...”

I tutaj przychodzą lekarze, którzy są wariatami, bo wierzą, że ja nie jestem normalny. Tu jest to samo, co tam — za ścianami.

.....Otóż jeżeli ja sam się nie zgodzę być wariatem, to cała ta rzeczywistość, to cały świat będzie w szaleństwie” (Bratny, 178).

Zamknęło się wariackie koło losu. Tutaj są sami wariaci i poza ścianami — również wariaci. Nie ma wyjścia. Jesteśmy w szpitalu dla obłąkanych. Niedaleko stąd leży „Sanatorium pod klepsydrą”.

Wypadek i rzecz są symbolami

Zjawiskom pozostającym poza granicami ludzkiej psychiki młodzi pisarze nadawali wartości duchowe, przez nasycenie ich subiektywną treścią. W ten sposób ich obserwacja wyogromnia zjawisko ponad dostępne w zwykłych warunkach rozmiary, dodaje mu treści subiektywnego przeżycia, dołącza drugie alegoryczne znaczenie. Niektórzy krytycy, wyznający poetycką odrębność sztuki, nazywali taką metodę obserwacji — twórczą, w przeciwstawieniu do odtwórczej pasji realistów.

Bratnego opowiadanie „Ukochana” opisuje dom publiczny w obozie. Wieżenie dostaje się do swojej ukochanej w czasie nocnych wypraw. W drabinie, przy pomocy której dostawał się do pokoju na pięterku, jakiejś nocy — „pierwszego szczebla nie było, wylamany”. Następnego dnia Seweryn „macał ręką, pamiętając, że brakuje pierwszego szczebla. — Co to? — sięgnął wyżej. Nie było już pierwszych dwóch, — nie — trzech szczebli nie było. I wreszcie ostatniej nocy „następne szczeble były wylamane, a tuż przed sięgnął najwyższego, stał ścierpły”.

Drabina, w której tajemniczy konkurent niszczy coraz dalsze szczeble staje się z realnego przedmiotu symbolem powolnego, nieubłaganego trawienia ukochanej.

Załamują się i przyskają realne kształty przedmiotów:

„Karbidówka skwierczała przy drzwiach... Janek trzymał ją jak granat konspiracyjny. Miał nawet do niego podobny kształt i wagę. Dostecznie leżała w dłoni. Podniósł ramię i zamachnął się” (Zalewski, 47).

Czytelnik traci orientację. Nie wie, czy to jest ostatecznie karbidówka, czy granat. Bo wiem symboliczna jest każda indywidualna rzecz i każdy indywidualny wypadek — jeszcze według starego poglądu Goethego. Wonne wypadki są jeszcze zbyt małe, trzeba je powiększać, aby stały się imponującą przygodą.



Winieta tytułowa ekspresjonistycznego pisma niemieckiego „Die Aktion”

Rozkłady jazdy

Wspaniały jest przepis Stura na powieść ekspresjonistyczną, która odtworzyłaby nieskończoność, irracjonalność i chaotyczność świata: „Trzeba zacząć — formułuje wskazania bojowej teoretyki — od opowiadania losów jednej osoby lub jednostek kilku, iść czas jakiś ich śladem, po pewnym czasie opuścić ich koleje, zahaczyć o nowe przeznac-

czenie, w pośrodku akcji dać opis nowego krajobrazu („Popioły”), z zaścianku pana sędziego udać się na daleki wschód, od opisów realistycznych przejść w kraj czystej fantazji”.

Linia, jaką się tutaj wskazuje, jest wyraźna. Od opisu konkretnych zdarzeń uciec do fantastycznego świata. Ale Jan Stur przebrał się wszelkich następstw swoich anarchistycznych założeń, przestraszył się własną światoburczością. W dalszych partiach wywodzi formułę programu obrony, walczy z pisarzami, którzy nie tylko odrzucają opis przejawów życiowych, ale odsuwają również możliwość konkretnego określenia uczuć, np. miłości czy nienawiści. Atak jest zwrócony przeciw formistom, zwolennikom czystych kształtów i dzieł, które mają wzbudzać abstrakcyjno — nieuchwytnie uczucia. Jan Stur w obawie przed całkowitym rozbięciem świata upiera się przy sensowności psychologicznego zdania. Był to bowiem czas, gdy parnasiści uważali, że sens zdania jest zbędny, wystarczy zachować reguły gramatyczno-składniowe. Dadaści posunęli się dalej i ogołocili zdanie z ciągłości składniowej, rozbijając słowa na głoski, na dźwięki mowy, na puste abstrakty.

Nie można zapominać, że ta cała wielka eskapada nowoczesnej sztuki zaczęła się pod znakiem ekspresjonizmu. Z niego zrodziły się nowe kierunki, jak futurizm, dadaizm, surrealizm. Ekspresjonizm ważył się zrobić zamach na prawa natury, jego następcy bardziej rewolucyjni i złąkami rozbiłi również wewnętrzne światy ludzkich złudzeń.

Zygmunt Kałużyński w artykule „Zbliża się Polska” La bataille d'Hernani*) twierdzi, że jedynie na pierwszy rzut oka ekspresjonizm warszawskich pisarzy jest wierny choć bezwiedną reprodukcją owego dawnego stylu. W istocie jest to nowy ekspresjonizm, zbudowany na zasadach innych. Wedlekind, Hasenclever, Sternheim, Kaiser, Brecht żyli głęboko nienawidząc do naturalizmu i ona była ich motorem twórczym. Świat zewnętrzny to dla nich świat wrogi, opisywać go nie pragnęli, uciekali przed nim we własną, dziwną wizję. Ale tematem tej wizji była obsesja: własnie obrona przed światem, więc kpinę ze społeczeństwa..., więc groteskowe, fantastyczne, niesamowite pomysły, więc krzyki, jaskrawe do niemożliwości efekty, mające podkreślić moc „wyraza” (expressio), wyrazu służącego indywidualnej „jani” poety, więc najdziwniejsze rozpasanie psycho-analityczne i erotyczne, więc wreszcie jako rezultat anarchizmu olbrzymio wyrosłego indywidualizmu. Jeśli podejmowali ekspresjonści społeczne problemy i to z rozmachem rewolucyjnym i patosem rzadkim w piśmiennictwie, to dlatego, że niedza raziła ich nadzwyczajnie i neurasteniczne indywidualności, stokrć mocniej, niż mogło się to zdarzyć u spokojnego obserwatora. Stąd ten niesamowity krzyk o sprawiedliwość. Nie trudno zauważyć — konkluduje Kałużyński — że cała ta ideologiczna podbudowa ekspresjonizmu (indywidualny anarchizm) nie tylko zniknęła doszczętnie w twórczości warszawianów, ale zastąpiona została innym elementem: **społecznym**... Bratny używa formalnych efektów i chwytów ekspresjonistycznych dla stworzenia nastroju patosu, dla powiększenia możliwie dobitnego wymiarów zagadnienia, które porusza, dla wzmocnienia ich **etycznego sentencjonalnego wniosku**... Alegoryczne i deformacyjne chwyt, które

*) Pokolenie Nr 5.

pozostały, wykorzystuje Bratny celowo, dodaje do ich znaczenia „poetyckiego” — jak już to widzieliśmy — jeszcze ściślej sens rzeczowy. Różnica jest zasadnicza: ekspresjonści świata widzieć nie chcieli — **Bratny go widzi**. Bratny wyodrębnia temat najsilniejszy: wojnę i o niej nie opowiada, a „krzyczy”.

Nie mogłem sobie odmówić przyjemności przytoczenia tego cytatu w całości. Zrobiłem to, żeby w pełnej rozciągłości zaprezentować krytyczną koncepcję nowego ekspresjonizmu w rozumieniu Zygmunta Kałużyńskiego. Na podstawach gruntownej analizy, którą mamy poza sobą, należy podjąć z tą interpretacją spór na całym froncie. Pozostawmy na uboczu traśność wyjaśnienia niemieckiego ekspresjonizmu, choć charakterystyka Kałużyńskiego dotyczy raczej jego późniejszej fazy. Okresu, w którym do sztuki ekspresjonistycznej wdarły się nowe żyłki fermentu w związku z modą na psychoanalizę.

Ale wnioski dotyczące warszawskiej grupy są zupełnie nieoczekiwane. Anarchizm niemieckich ekspresjonistów w twórczości warszawskich prozaików miał ustąpić miejsca elementom społecznym.

Kałużyński jest w Paryżu, i nie mogę go zapytać, co miał na myśli, pisząc o społecznym żywiole młodej literatury. Wydaje się, że niefortunnie, przypisany przez krytyka pisarzom, społeczny charakter ich opowiadań, można zastąpić sprawą narodową, która naprawdę w ich przedstawieniu wyczerpuje okupacyjną rzeczywistość. Sens walce nadaje **Sprawa**. Ale chyba z jeszcze większą słusznością można mówić o wielkiej młodzieńczej, duchowej przygodzie, która jest uświeconą, a może i nieco upozorowaną zdala patronującą ideą walki o oswobodzenie kraju.

Pokazywałem, w jaki sposób młodzi prozaicy widzą świat w ogniwach wojny. Nie można ich obserwacji nazwać ani trafną, ani wszechstronną, ani dalekowzroczną. Pisarstwo młodych pokazuje właśnie niechętnie odwracanie się od złowrogię rzeczywistości. Jedyne wnioski etyczne, jakie płyną z wielu opowiadań o przygodzie nie wytrzymały próby czasu. Zgodność z samym sobą okazała się kryterium zbyt dowolnym. Sumienie ludzkie było busola, która wyprowadzała wprawdzie na spokojne wody, ale nie orientowała zgodnie z mapami zawitych czasów. Nauki więc i sentencje, dla których wydawnictwa miała służyć zdaniem Kałużyńskiego technika ekspresjonistyczna, są blache i raczej wycytałam je między wierszami o odmiennej treści.

Czy rzeczywiście młodzi pisarze zachowali rygory myślowe w deformowaniu świata? Czy ich dziwaczna wizja trzyma się na uwierzy rzeczywistości praw?

Zanim odpowiem na to pytanie, pragnę przypomnieć rozkłady jazdy według podręcznika historii literatury, ostatniego pięćdziesięciolecia. Dokąd odjeżdżały pociągi ze stacji ekspresjonizmu? W kierunku niekontrolowanej wizji, subiektywnych prawd, na stacji: kubizm, futurizm, surrealizm. Na trasę, po których podróżowali byli kombatanci tamtej wojny.

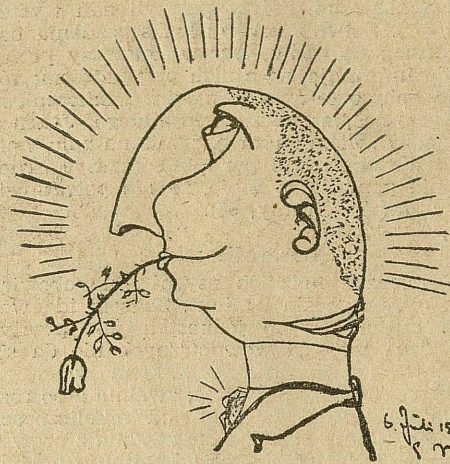
Mieszczańskie: ignoramus et ignorabimus

Błędem, który pomógł się na zgrabnej i błyskotliwej tezie krytycznej Zygmunta Kałużyńskiego o nowym ekspresjonizmie i o racjonalnym uzasadnieniu przeznaczenia i uświadomienia świata np. opowiadań Bratnego, jest zupełne odwrócenie ekspresjonizmu od jego filozoficznego korzenia.

Krytyk sugeruje, jakoby zbiór umownych chwytów przetrwał ideologię, której był od-

powiednikiem i teraz zgola coś innego znaczy.

Ekspresjonizm rozwijał się pod patronatem filozofii witalizmu Henryka Bergsona. Filozofia ta była jednym z bardziej skrajnych systemów antyracjonalistycznej myśli. Człowiek nie wie i wiedzieć nie może o istnieniu niezależnej od niego, obiektywnej rzeczywistości. Wiemy tyle, co mówią nasze indywi-



Literat

(rys. Gustaw Sach)

dualne doświadczenia i osobiste wrażenia. Już nie tylko znikają zupełnie z pola rozważań filozofa t. zw. zagadnienia bytu, lecz również odrzuca się właściwe teorio-poznawcze problemy. To, co dotychczas nazywano nauką, teraz nowi filozofowie uznają za metafizykę. To, co dotąd było metafizyką, ma być nauką. Jedyną rzeczywistością jest nasza psychika. Jej stosunek wobec świata nie może być poznawczy. Elan vital, wiekiutki potok, który przepływa przez nasze dusze, opacznie uważa się za konkretną, niezależnie od nas istniejącą rzeczywistość. Naukowe i filozoficzne poznanie jest nieprzydatne, bo nie doprowadza do żadnych skutków. Można tylko przy pomocy intuicji dotrzeć do wiecznie płynących wód, z których zaczerpniemy prawdziwej wiedzy o wewnętrznej rzeczywistości, przebiegającej się w pozory niezależnego bytu. Twórcza intuicja pozwala na chwilę włamać się do świata naszych jedynie prawdziwych wyobrażeń. Wydaje się, że taki sam jest filozoficzny podkład wewnętrznej przygody w najmłodszej literaturze.

Zadnych istotnych poprawek nie zaprowadzono do powyższego systemu. Pojedyncze wyroczenia nie znaczą. Szczegółowy opis i ogólną typologię artystycznych konsekwencji tej postawy starałem się dać w poprzednich rozdziałach.

Minuty uniesień stanowiły właściwie lekcje poznawania jednostkowego mikrokosmosu. Z zadziwiającą konsekwencją Bratny i Zalewski stosują się do przyjętych założeń.

Dopiero po ukazaniu filozoficznego odpowiednika ekspresjonizmu w sztuce wniosek Kałużyńskiego zamienia się w paradoks. Otóż, przy pomocy których mamy uzasadniać następstwo, są bardziej od niego niepewne i kruche. Przecież jeśli ktoś w obrębie tego filozoficznego kręgu mówi o rzeczywistości, właściwie orzeka o rzeczywistości dla danej jednostki.

Czy istnieje coś poza nią — nie wiemy. Konflikty klasowe — może, ale osobiste sympatie — napewno. Wojna — prawdopodobnie, ale lęki i przerażenie — z całą stanowczością.

Ludzie wygłodnieli i zmarznięci — na dalszym planie, obłąkańcze niepokoje — na pierwszym

Cytowałem niejednokrotnie programowe wypowiedzi i moralizatorskie anegdotki Jana Stura nie po to, żeby zilustrować mój artykuł rycinami ze starej książki. Pokazując zgodność między poglądami sprzed ćwierć wieku a literacką praktyką z czasów ostatniej wojny równocześnie lokowałem omawiane książki w czasie literackich przemian.

Ekspresjonizm w języku **historii literatury** oznacza styl, który nie potrafi wyrazić innego poglądu na świat, niż egoistyczny. Od dziecka — pesymistyczny styl. Negatywny wyraz wojennego przerażenia i przerażenia antyrewolucyjnego mieszczaństwa wobec narastających sprzeczności dyktatury wielkiego kapitału. Nowa sztuka była buntem, protestem, ucieczką. Ucieczką do poetyckich zdań. Pierwszą rezygnacją z realistycznego opisu świata i ze sprawdzalnej tematyki. Zatarły się granice prozy i poezji. Powstały przerosły fantastyki.

Ekspresjonizm w wykonaniu warszawskich prozaików nie jest, rzecz oczywista, wierną odbitką z niemieckich almanachów ekspresjonizmu, czy jedynej naszej antologii literatury ekspresjonistycznej, reprezentowanej przez grupę poznańskiego „Zdroju” (Poznań, 1917 — 1922).

Potraktowałem obszernie część o podobieństwach, o różnicach wspomniane zaledwie. Zniknęły niepostrzeżenie utopijne, ogólnoludzkie idee, w imię których buntowali się niemieccy ekspresjonści. Weszły natomiast do książek Bratnego, Zalewskiego i Piórkowskiego inne aktualne treści.

Szczególnie różni są bohaterowie książek, przedzielonych niespokojnym ćwierćwieczem. Pamiętam dyskusję polskich ekspresjonistów, którzy gwałtownie krytykowali niemiecką wolać mocy, uważając ją za obcy, wrogi, pruski element. Bohaterowie opowiadań młodych pisarzy są nieśmiertelni, niepokonani, niepodlegli. Bohaterstwo ma tutaj narodowe barwy. Ogromnie charakterystyczni są ci chłopcy, którzy roją tylko o bohaterkiej śmierci i o wielkim narodzie. To jest najciekawszy wyróżnik, najbardziej groźna treść epoki narodowych wybujałości.

W pozornej analogii czasów dwóch światowych wojen nie znajdziemy, właściwego i wystarczającego wyjaśnienia powrotu ekspresjonizmu. Przestach wobec pierwszej wojny i przerażenie ostatnią wojną mają różny historyczny sens.

Skląmiam się raczej ku przypuszczeniu, że **młode pokolenie inteligencji zatrzymało się na stacjach minionych tradycji kulturowych. Zostało przez wojnę zeksplowane poza tory rozwoju kulturalnego.**

Warunki pustki społecznej i kulturalnej, warunki życia i działania, o które zahaczyłem w rozdziału „Pokolenie konspiratorów”, zadecydowały o spóźnieniach.

Generacja młodych pisarzy uległa przymusi bezruchu kulturalnego. Przynała się do metody pisarskiej, która najbardziej nadawała się do indywidualnego chowu. Przyjęła styl, który straszył po kątach naszej zastkonsprowanej i zapóźnionej szkoły. Jest wielu innych młodych pisarzy, ale ta właśnie grupa nadaje ton literaturze pokolenia. Kilku warszawskich prozaików stanowi, jedyną **zwartą formację młodej literatury**. Fakt ten zezwala traktować ją jako **znamienny i typowy produkt pokolenia, które zostało przez wojnę zeksplowane na ślepa bocznicę rozwoju kulturalnego**. Tadeusz Drewnowski

Anna Kamieńska

KULTURA DRUKOWANA

(6-7. III. 1948 odbył się w Warszawie II Krajowy Zjazd Korespondentów „Chłopskiej Drogi”)

1. „WIĘC ZUŻYTKUJ KAPITAŁY”

5 tysięcy prenumeratorów „Zarania” w końcu XIX wieku i 200 tysięcy nakładu „Chłopskiej Drogi” dziś — to nie tylko ilustracja rozwoju czytelnictwa i wzrostu zapotrzebowania na gazetę na wsi. Ten rozwój nie da się określić w prostych liczbach. Decydujące byłoby jeszcze dwa momenty: 1) jacy to prenumeratorzy i czytelnicy, 2) jaka jest treść rzeczowa ich kontaktu z gazetą. Odpowiedź na te pytania wyjaśniłaby jakiś istotny i szeroki proces społecznego zakorzeniania się kultury na wsi, tej kultury, która w przeciwstawieniu do ustnej — według rozróżnienia Jana Bystronia kultury ludowej, nazwalibymy kulturą pisaną czy nawet drukowaną.

St. Rychniński w swej książce „Przeobrażenia społeczne w Stanach Zjednoczonych na tle urbanizacji” (Warszawa 1937) stwierdza decydującą dla kultury amerykańskiej, powstającą z drobniomieszczańskiego partykulara, rolę gazety. „W rzeczywistości nie książka — pisze Rychniński — **lecz dopiero gazeta w ogóle stworzyła w Ameryce czytelnictwo**, tak samo zresztą — dodaje — **jak w środowiskach ludowych w Europie**”.

Począwszy od połowy XIX wieku zaroilo się na wsi od wszelkich piśmiek. Były to przede wszystkim — jak powiedziałby korespondent „Chłopskiej Drogi” — i pisarz ze społu „Wsi”. Stanisław Gebala — **blekitne gazetki**, wydawnictwa obliczone na parafie, mor-lno-religijne. Przypomnijmy np. „Katalika” redagowanego przez Józefa Chociszewskiego w Chełmnie, warszawską „Czytelnie niedzielną” Ungera, „Zorze” Józefa Grajnera i wiele innych przeznaczonych zresztą zarówno dla ludu wiejskiego, jak i miejskiego (oczywiście rzemieślników, a nie robotników fabrycznych). Stąd drobniomieszczański w ogóle charakter tej pobożnej oświaty — dość

charakterystyczny dla polskiego pozytywizmu. Piśmienka te cechuje przede wszystkim element hagiografii, cudowność tak zgodna (jakimś cudem) zarówno z parafialną kulturą wsi jak i z wzrastającym drobnym kapitalizmem miejskim. Poza tym wspólna im jest tendencja moralizatorska, wysuwająca na plan pierwszy nowe, możnaby rzec, cnoty wyrosłe na gruncie własności: pracowitość, oszczędność i oczywiście pobożność, zabezpieczająca cudzy i własny stan posiadania. Zresztą już Chodźko w powieści „Pan Jan ze Świsłoczy”, przeznaczoną dla szkółek parafialnych (Wilno, 1821) pisał: „W naszym stanie bardziej rozsądnym, pobożnym, cnotliwym i pracowitym, jak uczonym bydź potrzeba” A co dopiero po uwłaszczeniu, gdy zachciał się system posiadania w ogóle! To też obrazki i wierszyki tych pierwszych gazet dla ludu to **małe hymny małego kapitalizmu**, o perujące zresztą chętnie **magicznym pojęciem kapitału**. Takim wieszczęm „kapitalizmu na wsi” był np. w „Katoliku” Józef Chmielewski. Czytamy w „Piosnce poprawionej”:

„Mam i zdrowie — jam nie biedny,
Toć się z pracą będę witał;
Dopomoże Bóg wszechwiedny —
Boć to zdrowie — to kapitał.
Gdy użyję mądre czasu,
Kosztownego kapitału,
Przyjdę również do zapasu,
Jak i drudzy, choć pomału.
Stanie chatka, to i owo...

Hej do pracy, w imię Boże!
Jak kto możesz, tylko przedź,
Bo się zwiększyć wszystko może.
Przyjdiesz z czasem do pieniędzy
Więc zużytkuj kapitały,
Zdrowie twoje i czas drogi,

A odniesiesz zysk nie mały
I nie będziesz już ubogi”.

Druga fala oświaty idącej na wieś w galicję, to bardziej świecka, lecz zgodna z parafialną, oświata szlachecka, przeznaczona przede wszystkim dla sług pańskich i dla bogatych chłopów. Zresztą i polityczny radykalny ruch ludowy pod koniec wieku nie odmienił od razu czytelnika gazet. 5 tysięcy prenumeratorów „Zarania”, to przede wszystkim bogaci chłopcy, **gospodarze**. Ich listy do redakcji, ich narady w piśmie — mają na celu poprawę sytuacji gospodarczej górnej wsi, jej konsolidację nawet nie przeciwko wielkiej własności, a przeciwko postępującemu od dołu niebezpieczeństwu pauperyzacji. 5 tysięcy prenumeratorów „Zarania”, to krąg przede wszystkim **indywidualnych czytelników**, z kolei dopiero oddziaływujących na środowisko, to tworząca się dopiero wieś społeczna na podstawie tzw. „uświadamiania”.

Krąg czytelników gazety jest interesującym zjawiskiem socjologicznym. Stykają się z nim redakcje piśm, mających ambicję społecznego oddziaływania. Powstaje termin „wielka redakcja” dla oznaczenia tych wszystkich czytelników, którzy biorą niejako udział w redagowaniu gazety, współpracują z nią, czują się z nią emocjonalnie związani. Na zjeździe „Wsi” w Rytwianach około 100 chłopów pisarzy brało udział w niekończących się do późnej nocy dyskusjach np. o poezji współczesnej — w poczuciu prawdziwej ważności swego uczestnictwa i głosu. Korespondenci „Chłopskiej Drogi” wyrażali ten emocjonalny stosunek do pisma w charakterystycznej, często naiwnej i egzaltowanej terminologii. Mówili o „naszej kochanej gazecie chłopskiej”, podkreślali jej „szczerść” i „prostotę”, interesowali się jej szatą graficzną i trudnościami w kolekcjonowaniu roczni-

ków. II krajowy Zjazd Korespondentów tego pisma zgromadził 300 najlepszych jego aktywnych czytelników. A jednak z samych przemówień uczestników Zjazdu wynikało jedno: nie występowali oni jako indywidualni prenumeratorzy i ewentualni indywidualni popularyzatorzy pisma. „Mówię w imieniu chłopów powiatu miechowskiego, województwa krakowskiego”. „Przywożę pozdrowienia od osadników pow. myśliborskiego woj. szczyńskiego”. „W imieniu uczniów Liceum Rolniczego w Suchodolu, pow. Krosno”. „W imieniu robotników majątku państwowego”... itd. Redakcja współczesnej gazety chłopskiej, redakcja „Chłopskiej Drogi” ma przed sobą nie indywidualnych, samotnych czytelników, a związki, organizacje, szkoły, instytucje samorządowe, partie — i dopiero poprzez te więzi pierwsze i rzeczowe tworzy się wieś społeczna kręgu czytelniczego pisma. Rekrutacja, wyławianie korespondentów odbywa się poprzez instytucje, które w ten czy inny sposób pisma zapotrzebowują. Tak „Chłopska Droga” jest organem Polskiej Partii Robotniczej, wyraża linię polityki gospodarczej Związku Samopomocy Chłopskiej.

2. PODSTAWA POROZUMIENIA.

Interesuje nas kulturalna strona sprawy „kręgu czytelniczego” gazety, sytuacja kulturalna odbiorców i współtwórców „drukowanej kultury” na wsi. Nie moglibyśmy tej jednak ocenić bez odpowiedzi na drugie postawione na wstępie pytanie: jaka jest treść rzeczowa kontaktów z gazetą? Jaka więc jest sytuacja gospodarza wsi i najbliższe zadania rolnictwa? Sytuację tę scharakteryzował w pięknej i obszernym przemówieniu wice-marszałek Sejmu Roman Zambrowski. Przemówienie to stało się podstawą ideologiczną zjazdu i tak też, jako polityczną świadomość

postępowych chłopów skupionych na Zjeździe — chcemy je zreferować. Masy chłopie nie żyją w gospodarczej i politycznej izolacji. Klasa robotnicza dopiero „daje perspektywę” ruchowi ludowemu i wiąże go z historycznym procesem ruchów rewolucyjnych przez ciąg całego XIX i XX wieku, które stawiają reformy agrarne u podstaw swoich programów. W organizowaniu tych ruchów rewolucyjnych masy robotnicze widziały najlepsze swego sojusznika w biedocie wiejskiej. W okresie Polski sanacyjnej biedota ta sięgnęła dna swej nędzy. Miliardowe zadłużenie wsi, obniżające się płace dziennie robotnika rolnego (do 1 zł), głód ziemi i przeludnienie — to były skutki mniej niż połowicznej reformy rolnej uchwalonej przez I Sejm Polski Niepodległej. Radykalna reforma rolna z roku 1944 nie została jeszcze ukończona. 1/2 miliona ha ziemi jeszcze nie rozparcelowano, w gospodarstwach chłopie leży 800 tysięcy odgógów — wymagających do likwidacji 2 miliardów pomocy kredytowej. Powoli postępuje komasacja, melioracja gruntów i elektryfikacja wsi. Rozładowanie przeludnienia na wsi odbywa się przez zatrudnienie chłopów w funkcjach społecznych, przez rozwój przetwórstwa i przemysłu rolnego, przez planową i racjonalną zmianę struktury zasiewów na korzyść upraw przemysłowych i pastewnych w miejsce zbóż. Konieczność podniesienia poziomu produkcji rolnej wymaga wydajnej pomocy państwowej wyrażającej się w kredytach na powiększenie pogłowia, na odbudowę, w dostarczaniu nawozów sztucznych i maszyn rolniczych. Zużycie nawozów w latach 1937—8 wynosiło 126 tys. ton, w r. 49 wyniesie 250 tys. ton. W r. 38 sprzedano polskim rolnikom maszyn na 18 milionów zł, w r. 49 pozycja ta wyniesie 51 milionów zł przedwojennych. Z drugiej strony podniesienie wydajności rolnictwa wymaga oddolnego, społecznego ruchu współzawodnictwa pracy, dającego już dobre rezultaty w przemyśle. Gminy i organizacje współzawodniczą ze sobą, wysuwają samorzutnie najpilniejsze i najważniejsze dla terenu zadania gospodarcze: podnieść plon, usunąć nieużytki, uporządkować gnojownię, założyć komposty, walczyć z chwastami, zwiększyć plon oleistych, uruchomić ośrodki maszynowe, obsiać siewnikami, uruchomić ośrodki czyszczenia zbóż, oczyścić rowy melioracyjne, zalesić, naprawić drogi itd. Nie wystarczy przy tym stwierdzenie, że uruchamia się pomoc państwową i że należy chłopów organizować do współzawodnictwa. Komu pomagać? kogo organizować? Oto pytania podstawowe. Odpowiada się na nie: pomagać małorolnym i średniorolnym, organizować małorolnych i średniorolnych. Kredyty na maszyny przyznane rolnikom indywidualnym spowodowałyby powstanie kilku tysięcy prywatnych przedsiębiorstw maszynowych, stosujących lichwą sąsiedzką wobec biedniejszych. Kredyty indywidualne byłyby to „bicz ukreślony na biedotę chłopską”. Podział kredytów i organizacja spółek maszynowych są zadaniem spółdzielczości Z. S. Ch. Najbliższe zadania dla rolnictwa to: umaszyńnienie, uspołdzielczenie, kontrakcje i związki branżowe Z.S.Ch., rozwój oświaty rolniczej, uprzemysłowienie.

Na tym ogólnie zarysowanym tle mogą wystąpić dopiero zagadnienia ideologiczne i kulturalne kręgu czytelniczego gazety na wsi, problemy kultury drukowanej.

3. „CO NAM PISZĄ CZYTELNICZY?”

Wielu korespondentów gazety to nie jest instytucja nowa. Już i „Kmiotek” z lat sześćdziesiątych ub. wieku zamieszczał listy czytelników. Np. w jednym z numerów „Kmiotka” chłop skarżył się na to, że pan ekonom wychodzi do żniwa z batem w ręku. W numerze następnym redakcja zamieszcza list tegoż pana ekonomy, który wyjaśnia, że bat nie był przeznaczony na plecy robotników — oświeconych ludzi, czytelników gazety, ale po prostu na konia, którym objężdża pola. W innym miejscu wychylał czytelnik „Kmiotka” ząbaczność pani dziedziczki lub księdza proboszcza, którzy we wsi założyli szkołę dla dzieci. Takie są tu ogniwa więzi społecznej między gazetą a jej czytelnikami: stosunki wsi z dworem i plebanią, poprzez które to instytucje zresztą przechodzi gazeta w drodze do „Kmiotki”.

Aby nie odbiegać zbyt daleko w historię zatrzymamy się na stosunkach przedwojennych w Polsce. Wprawdzie dwór i plebania istniały nadal i nie wypuszczały z rąk tradycyjnej protekcji nad wsią, ale dochodził czynnik jeszcze potężniejszy i pełnomocny: państwo. Rząd operujący się w latach 1937—9 na Obozie Zjednoczenia Narodowego rzucił hasło: „Frontem do wsi”. Piętrzą się obietnice niepoparte żadną konkretną reformą. Listy czytelników pism ozonowych mimo, że pełne układnych zapewnień lojalności i niskich ukłonów wobec rządu, tętnią wyrzutami i skargami, jęczą o pomoc: „Wyciągamy dłonie i wolamy o pomoc dla wsi, panie ministrze rolnictwa”. Rządzący Polską przed wrześniem mieli się przekonać jeszcze raz już w obliczu groźnej sytuacji międzynarodowej o prawdziwość słów Stefana Żeromskiego: „Wies — to



Uczestnicy Zjazdu „Chłopskiej Drogi”. Rząd pierwszy: ob. ob. Kania Józef i Feifer Jan

będzie męka odrodzonego narodu”. „Wies Polska” popularny tygodnik Obozu Zjednoczenia Narodowego w rubryce „co nam piszą czytelnicy” pozwalał sobie odstąpić niekiedy te prawdy wsi polskiej „odrodzonego narodu”, skwapliwie zresztą notując dowody polkniecia przez wies politycznego haczyka rządowego: odwrócenie uwagi od spraw gospodarczych na rzekomo gospodarcze zagadnienie żydowskie.

Przed wszystkim więc zamieszcza się listy pod hasłem: zgoda! zgoda! Jest jedna polska wies, nie ma w niej miejsca na różnice i swary. W numerze z r. 1937 pisze chłop z woj. białostockiego o dobrym wynagrodzeniu fernali w pow. wołkowyskim. „Zresztą powiem prawdziwie — pisze — że są tacy, co mają po 10 ha gruntu i żyją wciąż w niedostatku, bo już od nowego roku mają przednówek, a budynki w ścianach i dachach dziurawe. Są jednak także i tacy, którzy mają po 2 ha ziemi i żyją dostatnio, przednówka nie mają, a na budynki aż warto popatrzeć. Można to nie tylko zauważyć u nas wieśniaków, ale i u obszarników, co mają ogromne obszary ziemi i lasów, jest tak samo dużo niedostatku, a w budynkach tylko sowy i nietoperze mają schronisko. Tak to wszystko zależy od pracowitości i zaradności gospodarza, nie zawsze zaś od jego majątku”.

Nie dziwnego, że ten list, zapewne „dobrego gospodarza”, wysunięto na czoło. Tkwi on w czasach Chodźki i „Kmiotka”, w których podsuwano chłopom jedynie moralną oświatę. Pracowitość, oszczędność, zaradność — cnoty — decydują o utrzymaniu swego małego miejsca w systemie posiadania, nie produkowania.

Gospodarz z sieradzkiego widzi więcej: „Chcimy tylko bliżej zapoznać się na miejscu w tej naszej wsi, a zobaczymy tu i ówdzie wzniesiony piękny dom, nowoczesnie zbudowany, a obok niego po obu stronach podpierane stare rudery. Oto obraz tych starych chałup chłopskich: bywa tam najczęściej po cztery rodziny, młodych, zdolnych, o zdrowych rękach do pracy na roli i to bywa tak, że głowa domu (ojciec) ma 3 lub 5 morgów ziemi, a czasem to i mniej... To też nie dziwnego, że wies, że chłop polski nie zapomniał o obiecanej reformie rolnej, która jest konieczna i nieunikniona, ale nie parcelacja obca, na którą nie ma pieniędzy”.

Problem nadmiaru rąk robotczych na wsi powtarza się w listach ponurą litanią. Ale znaleziono wyjście, które nie naruszy porządku społecznego. Trzeba nadmiar rąk robotczych wiejskich skierować do handlu. „Trzeba oczyścić czym prędzej handel (gospodarz z krakowskiego) i przemysł. Dotychczas tymi dziedzinami naszego życia gospodarczego władali i władają jeszcze Żydzi. Handel musi przejść w ręce polskie. Praca rąk chłopskich, z której żyje Żyd — to więcej niż pieniądze, który zapewnić powinien skarb państwa oraz stać się przyczyną dobrobytu”. Pisano to w lutym roku 1939. Młodzi chłopcy z lubelskiego także w straganach żydowskich dostrzegali „plasterek na rany wsi”. „Jesteśmy synami drobnych rolników. Część jaka na nas przypadnie, nie wystarczy na życie. Pragniemy więc walczyć o lepszą teraźniejszość i przyszłość. A walczyć możemy tylko w szeregach OZN, bo tylko w nich widzimy miejsce dla ludu wiejskiego, który do tej pory nieraz szedł za podszeptem agitatorów partyjnych. My młodzi wierzymy, że OZN rozwiąże piękne zagadnienie żydowskie, a tym samym sprawi, że przy każdym straganie, w każdym sklepie na wsi znajdzie się chłop”.

Hasła w rodzaju: „Chłop produkuje a Żyd ceny kalkuluje” wbijano w pamięć nie zawsze skutecznie. Chłop z woj. krakowskiego pisze: „Wies dzisiejsza ma opiekunów za dużo. Obiecują jej reformę rolną i stragany żydowskie w mieście, a w gruncie rzeczy opatrnościowi dobrodziejce rozbijają tę biedotę wiejską coraz bardziej”.

Zresztą i działacze ludowi zaczynają na gwałt odzygnąć się do polityki a wzorem Chodźki nawoływać do meblowania cnotami własnej duszy. W „Ruchu Ludowym” redagowanym przez Aleksandra Patkowskiego (1926 r.) przeczytamy: „Nie tylko nie zniechęcamy was do stronnictwa, ale namawiamy: wstępujcie do nich, pracujcie tam, poprawiajcie je. Przed jednym tylko chciałbym was przestrzec: nie spodziewajcie się, że wam ktoś wasze szczęście gotowe przyprowadzi z Sejmu, z Warszawy tak, jak się krowę przy-

prowadza z jarmarku. To szczęście musicie kuć sami sobie we własnym domu, przede wszystkim we własnej duszy” (Szczepan Turski).

Wynika z tego, że nie ma co czekać na ustawy, na zmiany ustrojowe czy gospodarcze. „Wszyscy na front!” — wzywano do nierealnej walki, do jakiegoś tam ubocznego wyładowania nastrojów buntu i opozycji. Z drugiej strony głośno i łagodno antagonizmy wewnętrzne wsi. „We własnej wsi niemal braćmi rodzonymi sobie jesteśmy — pisali w tymże „Ruchu Ludowym” apostoł, Józef Niecko. — Niemal niczym z sobą się nie różnimy, chyba tylko ilością posiadanych morgów ziemi. Poza tym nawet nędzę jednaka cierpimy, radości jednak posiadamy”.

Wśród wielu głosów dowodzących oszołomienia ideologicznego — zdarzają się w rubryce „Wsi Polskiej” głosy prawdziwie zasłużone mimo, że — wiemy dziś dobrze — pały one w próżnię. Są to te głosy, które malują sytuację rzeczywistości — nędzę wsi i te, które w zmianie ustroju rolnego widzą jedyny ratunek: rozparcelować! Ponad to nie wyjdą, choć pesymizm dyktuje jeszcze jedną wątpliwość: odpyły sił robotczych do miasta jest i tak konieczny. A w miastach stoi druga beczynna armia bezrobotnych i widoków na rozwój przemysłu nie widać. Tak i tu już w niewątpliwie wybranym i przebranym materiale korespondencji wiejskich zarysowuje się to, co wicemarszałek Zambrowski nazwał dziś **perspektywicznością ruchu ludowego — poczucie związku z ruchem robotniczym**.

4. „LISTY ZE WSI”

Zagłębienie się w całe strony listów ze wsi „Chłopskiej Drogi” daje nam jakiś przybliżony obraz współczesnej wsi polskiej. Ale można by zaryzykować twierdzenie, że listy wiejskie po realizacji reformy, o którą chłopcy przed wojną długo i daremnie błądali pana ministra rolnictwa, stały się mniej efektywne, bardziej jednostkowe, zawierające mniej problemów ogólnych, a więcej faktów. Zamiast marzeń o sklepikach żydowskich zjawiają się konkretne relacje o rozwoju spółdzielczości we wsi czy w gminie, o nadużyciu czy defraudacji. Zamiast gorzkich rozmyślań o roli młodzieży bezrobotnej w chłopskiej chałupie, wiadomości, że ze wsi wyjechała grupa młodzieży do szkół przemysłowych na Ziemię Zachodnią.

Korespondent „Chłopskiej Drogi” pisze listy w sprawie usprawnienia pracy na punktach zsyłu, skarży się na elektrownię, zamykającą dopływ prądu w godzinach pracy, demaskuje niesprawiedliwego wójta, referuje naradę polityczną — gospodarczą, projektuje organizację opieki sanitarnej nad ciężarnymi kobietami. Listy korespondentów nie są pustym gwarem chłopskich głosów i opinii — sprawują rzeczywistość kontrolę nad funkcjonowaniem ludzi w ustroju. Wyniki ingerencji władz lub wyjaśnienia w sprawach poruszonych są w piśmie publikowane.

Zresztą i na dyskusję zjazdowe przeniosła się ta atmosfera krytyki i kontroli. Bo też główny problem korespondencji wiejskiej to nie pochwała osiągnięć, a **uchwycenie oporów i przeszkód ustrojowych**. Ton opozycji w listach przedwojennych czytelników gazety — **uderzał w ustrój**, próbował podważać ustrój. Ton krytyki dzisiejszych korespondentów zmierza do **usprawnienia ustroju** (nowego ustroju). Korespondent „Chłopskiej Drogi” wójt gminy Kowale, nawołuje do zaznajomienia się z ustawami. Działacz wiejski np. powinien znać ustawę o ulgach stosowanych przy podatku gruntowym, aby móc ocenić sprawiedliwość czy niesprawiedliwość wymiaru podatkowego. Zasadniczą cechą nowoczesnego działacza wiejskiego jest **umiejętność poruszania się w ustroju**, orientacja w jego sprzecznościach i możliwościach. Jeśli przedwojenny „Ruch Ludowy” radził nie oglądać się na rząd i ustawy, ale próbować mimo nich podniesienia wsi, to robił to dlatego, że z ustroju nie już na korzyść wsi nie można było osiągnąć. Ten zaś korespondent „Chłopskiej Drogi”, który nawołuje do oddolnego, społecznego działania niezależnie od pomocy państwowej wyraża przekonanie, że możliwości ustrojowe nie są jeszcze w pełni wykorzystane i zrealizowane oraz, że **czynnik społeczny bierze udział w samym tworzeniu tego ustroju**.

Nie należy jednak przypisywać korespondentowi „Chłopskiej Drogi” zbyt wiele świadomości politycznej. Z pewnością niejednokrotnie chłopcy piszący dziś do „Chłopskiej

Drogi” są to ci sami chłopcy, którzy we „Wsi Polskiej” roztańczyli swe skargi. Jeśli zmienili się ich ton, jeśli ich głosy wydają się dziś dojrzałe — to wpłynęła na to także sama historia. Program przedwojennego wsi ozonego — zmierzal do przekształcenia wsi w kierunku drobnomieszczańskim przez opanowanie przez chłopów drobnego handlu i pośrednictwa. Dni ten właśnie problem jest największym i najważniejszym oporem ustrojowym. Dziś chłopcy i w przemówieniach swoich i w listach piętnują formy drobnego kapitalizmu, wdzierające się na wies czy to poprzez sklep konkurujący ze spółdzielnią, czy przez przedsiębiorstwa maszynowe i przewożące bogatszych chłopów wyzyskujących biedotę pozbawioną sprzętami i narzędziami pracy, czy przez pośredników handlowych i targi wszelkiego rodzaju, zwłaszcza zwierzęce. Chłopi korespondenci zdają sobie sprawę z tego, że zarówno plebania, jak i P.S.L. w terenie protegują właśnie rozwój drobnego kapitalizmu na wsi.

Wrocie ideologiczne elementy i w aparacie administracyjnym i gospodarczym, to druga przyczyna ustrojowych oporów. Wreszcie mówi się wiele o zwykłej nieuczciwości, demoralizacji, alkoholizmie — utrudniających działalność instytucji społecznych. Na osobną uwagę zasługuje wysunięta przez wójta Muchę sprawa niedostatecznej znajomości ustaw, nieumiejętności poruszania się w ustroju i używania jego kompetencji. Problem ten zresztą nie obcy jest i życiu robotniczemu, gdzie np. fabryczne rady załogowe nie zawsze umieją korzystać ze swych prerogatyw.

Tak więc obraz wsi widziany poprzez „Listy ze wsi” jest w pewnym mierze niewątpliwie skrzywiony, jest to skrzywienie widzenia oddolnego, ograniczenie się często do rejestru faktów bez stawiania pytań: jak i dlaczego, bez rozumienia nierzadko mechaniki społecznego życia.

5. REMANENTY KULTURALNE

Niedostatki te i błędy świadomości społecznej wsi znalazły wyraz w wielu przemówieniach na zjeździe. Ukazują one tę świadomość dolową w formach stanowiących często **uparte remanenty kulturalne**. Tu bowiem przede wszystkim objawia się kulturalna sytuacja tej bądź co bądź przodowniczej grupy chłopskiej. Treść gospodarczo-społeczna tej świadomości jest i z charakteru ustroju, w którym się działa i nawet z własnej woli — postępową. Formy natomiast kulturalne wyrażania jej — są często wsteczne i nie przystają do treści. Kultura ogólna z wielką literaturą narodową zamieniona zostaje na slogan, frazes patriotyczny zachwaszające życie gospodarcze.

Pisanie do gazety jest oceniane na wsi jako forma **wyższych kontaktów**. Korespondenci mają wpływ na swoje środowisko poprzez autorytet gazety. Pewien korespondent „Chłopskiej Drogi” pisze o swoich sąsiadach: „Odnoszą się do mnie z takim szacunkiem i pochwałami, jak gdybym przynajmniej był ich posem do Sejmu lub kimś w tym rodzaju”. Dlatego też po autorytet ten i uznanie sięgają nie tylko działacze, ale często także jednostki szukające w kontakcie z gazetą formy **kulturalnego wyzicia**, jednostki bądź **poszkodowane**, bądź w jakiś sposób **wycieńnione z masy chłopskiej** w wielkim procesie kształtowania się nowej warstwy. Byli robotnicy folwarczni, rzemieślnicy wiejski, niedokształceni nauczyciele, mniej zdolny uczeń szkoły rolniczej, czy przemysłowej — to pozycje społeczne bądź co bądź trudne, na które wnieśli tych ludzi prad wielkiego awansu klasowego, zanim osiągnęli jednostkowy własny awans kulturalny. To też sytuację kulturalną całej klasy chłopskiej trzeba oceniać z tych dwóch punktów widzenia jednocześnie.

Korespondenci gazety na wsi nie tylko wyrażają opinię społeczną wsi, oni na nią wpływają i kształtują ją. Literaturę, tworzoną przez chłopów, charakteryzuje przede wszystkim docieganie do wzorów literackich inteligentnych i mieszczańskich zarówno w treści jak i w formie. K. L. Koniński nazywa literaturę ludową — nienaturalną, ponieważ nie jest ona ani „podtrzymywana (moralnie), ani utrzymywana (gospodarczo)” przez swoje środowisko.

Dopiero w zastosowaniu do tej formy pisaną, jako uprawiającą korespondencję gazet na wsi, można by w pełni użyć określenia: „literatura naturalna” w tym socjologicznym sensie, jaki zakłada Koniński. Listy ze wsi mają niewątpliwie wpływ na czytelnictwo gazety. „Chłopska Droga” — pisze korespondent — nie jest tylko piśmem dla chłopów, lecz piśmem chłopskim i pisanym przez samych chłopów. W każdym numerze „Chłopskiej Drogi” jest dział „Listów ze wsi”, gdzie **chłopi spracowanymi dłońmi w prosty lecz dosadny sposób kreślą swoje belaczki lub osiągnięcia**.

Korespondencje wiejskie są przejawem **kulturalnej rewolucji na wsi**, jaką było **złuszczenie ustnej kultury ludowej przez pisaną i drukowaną kulturę miejską**. Treść jednak tych korespondencji, mająca za podłoże historycznie zmienne systemy gospodarczo-społeczne wsi pozwala traktować to zjawisko kulturalne jako **przebudowę ustrojowo-pisarską ludowca**. Przemówienie tego korespondenta, który mówił językiem potocznym o walce klasowej we wsi na tle spółdzielni — było także kulturalnie bardziej ogólne i postępowe niż odczytany przez innego chłopca autora wiersz o „zgodzie wszystkich stanów”, zrobiony według złego i zamierzającego wzoru poezji szlacheckiej. Te wielkie nożyce: gospodarczej świadomości i stylu kultury wsi są ciągle otwarte, dziś szerzej może jeszcze, niż kiedykolwiek, bo dostrzegamy ich rozwartość w przemianach. Zagadnienie dla socjologa i teoretyka kultury.

Anna Kamińska

ADMINISTRACJA „WSI”

ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA
ROCZNIKI „WSI” W OPRAWIE
Z ROKU 1947.

CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI ZŁOTYCH 1500.—

Witold Łukaszewicz

Śmierć Szymona Konarskiego^{*)}

Konarski po wysłuchaniu wyroku został samotny w celi. Egzekucję wyznaczono na jutro rano, tj. 27 lutego 1839 roku. Miał więc skazany zaledwie 24 godziny życia.

Konarski był przed śmiercią w nastroju wieszczy. Przez kilka godzin grał na flecie, smętnie, rozrzucając, jakby się żegnał z ludźmi i ze światem, którego pięknem nie zdążył się zachwycić. Liczył zaledwie 31 lat życia, twardego życia sieroty, żołnierza-tułacza, emisariusza. Bóg nie był dla niego łaskawy, nie lepsi byli i ludzie, za niełaskawymi wyjątkami. Nagle przerwał granie, chwycił za pióro i zaczął pisać wiersz, długi jak własne cierpienie, mocny jak hart duszy, wiersz-wyznanie, ostatnie przed zgonem, pełne miłowania ojczyzny i wolności, przetykane słowami skargi na niebo obojętne i cara-tyrana. Flet nastroił muze, posypały się słowa na papier, nawet zmęczone torturami dłonie nabrały mocy, nie drżały...

Świat wielki, piękny. a tu kamień niedoli przysniata myśl i serce. Naród w kajdanach, emisariusz za kratami, Bóg kojarzy jego przyszłość z katem. Ukochana Emilia Michalska i jej opiekunowie w więzieniu, oto jaką nagrodę zgoutał im los za gościnę i uczucie.

Konarski uświadamia sobie ogrom nieszczęścia, jakie spadło z jego winy na setki spiskowców i ich rodziny. „Gdziekolwiek stąpie, tam będzie niewola” — woła w wierszu.

Późno w nocy wziął Konarski po raz drugi pióro do ręki by napisać ostatni, pożegnalny list do matki i brata Stanisława. Prosił ich o przebaczenie za łyzy i cierpienia, których doznali z tego powodu, że Szymon żył na świecie. Zapewniał ich, że nie lęka się śmierci, że jest spokojny na duszy, że z odwagą i zadowoleniem stanie pod szupkiem. Prosił, aby nad losem jego nie płakano. Czynieć tak bowiem należało tylko wówczas, gdyby car zamienił śmierć na Sybir, na powolne konanie w minach Nercyńska. Uspakał matkę, że umiera z najzupełniej czystym sumieniem. „A jeśli po moim zgonie — pisał — złośliwość ludzka lub zwierzęca ich ograniczoność, zechce cię męczyć szarpaniem mego honoru, lub rozbieraniem niekorzystnym życia mego na tym świecie; jeżeli się znajdą tacy, którzy cię zechcą i przez ten rodzaj cierpienia przeprowadzić... nie wierz im Matko, bo moje sumienie jest czyste pod każdym względem, bo moje życie brudów nie ma w sobie. Zawiniłem w obliczu władzy i za to żyć przestane, lecz w obliczu ludzkości, w obliczu honoru i prawości... w obliczu Boga nawet Matko, prócz tych grzechów, których aby uniknąć, potrzeba być więcej ażeżeli człowiekiem, prócz tych grzechów, za inne nie będę sądzony, nie będę zapewne i karany...” Prosił dalej, aby matka i rodzina pokryły jego skromny dług w wysokości 50 talarów pruskich w Lipsku i 100 franków w Szwajcarii, gdyż nie jest w stanie go zwrócić. Wyrządził życzenie, aby matka pożegnała w jego imieniu Emilię Michalską, którą kocha całą potęgą serca oraz jej rodzinę. Brata upominał, aby nie nosił żałoby, błogosławił go na drogę życia i radził ożenić się. „Jeżeli ci Bóg da syna — pisał — daj mu na pamiątkę moje imię; Janusza, które ja długo nosiłem, córce zaś twojej, daj: Emilia, mojej oblubienicy!”

Raz jeszcze zagrzewał matkę, by zniosła mężnie ten cios okrutny i żegnał się z wszystkimi na zawsze: „W Rumbowiczach przy grobie wujenki położycie kamień bez żadnych napisów i prosty, bo ja po prostu nie po pańsku żyłem; położyć go na moją pamiątkę. Ja sam z wujenką nieraz przyjdę cieszyć się z waszego szczęścia, lub płakać nad waszą niedolą. Mam w Bogu moim nadzieję, że to mi dozwolonym będzie; a kiedyś, kiedy i wy ze mną się połączycie, przychodzić będzie mi tam wszyscy, zartować z naszych cierpień i dolegliwości doznanych za żywota ziemskiego. Dzisiaj jeszcze, jak m; ksiądz powiada, mam być stracony...”

Switało już, gdy przestał pisać. Skazanie przeszedł się kilkakrotnie po celi, pobrzekując kajdanami. Był spokojny, pogodny, zadowolony z siebie, czekał na przybycie dozorczy więzienia, aby mu przedłożyć trzy życzenia przedśmierne w myśl przyjętego zwyczaju. Gdy dozorca wszedł, wręczył mu je na kartce papieru z prośbą, aby zostały spełnione. Konarski prosił generał-gubernatora Dolgorukowa: 1) o zezwolenie na pożegnanie się z towarzyszami niedoli; 2) wypuszczenie na wolność narzeczonej Emilii Michalskiej; 3) odsłanie rodzinie pozostałych po sobie rzeczy. Spełniono tylko pierwsze życzenie; co do drugiego było ono zbędne, bo Emilia Michalska w tym czasie była już na wolności. (Szponiański: op. c. 82-3).

Konarski żegnał się czule ze współwięźniami: Rodziewiczowi przebaczył jego słabość

*) Patrz: W. Łukaszewicz „Ideologia Szymona Konarskiego” — „Wiś” Nr. 5 (134).

1) (List w wyborze z pism. Zahorski: op. c. str. 68—72; L. Siemiński: Der Aufenthalt in Litauen im Jahre 1836 und die letzten Tage des Szymon Konarski. Belle-Vue bei Konstanz 1845, stron 32. Por. Szymon Konarski: Pismo k matierii nakanunie dnia jego śmierci (1839) Russkij Archiw 1870, str. 658. L. Zienkiewicz: op. c.).

charakteru, odrzucił natomiast Antoniego Orzeszkę ze słowami: „Tobie rozmysłny zdradco, ani ja, ani potomność, ani Bóg nawet zapewne nie przebaczy...” (Feliński: Pamiętniki, I, 122-3).

Po pożegnaniu prosił Konarski dozorcę, aby kupił mu za resztę pieniędzy, jakie miał od matki, ciepłe spodnie sukienne, gdyż nie chciał drzeć przed egzekucją. Asystujące jej tłumy mogłyby może pomyśleć, że drży ze strachu przed śmiercią. Dozorca odmówił spełnienia tej prośby brakiem odpowiedniego rozkazu ze strony swej władzy. Około godz. 10 rano wszedł do celi skazańca ksiądz pastor Lipiński, który miał towarzyszyć Konarskiemu do miejsca stracenia.

Po godzinie Konarski oświadczył pastelowi, że jest przygotowany na śmierć, ubrał się, uczesał, włożył na głowę czerwoną wólczkową czapkę, otrzymaną w podarunku od narzeczonej, oddał dozorcę ostatnie sześć rubli z prośbą, aby je równo podzielił między żołnierzy z plutonu egzekucyjnego i w towarzystwie księdza Lipińskiego, eskortowany przez żandarmów, opuścił boczną furtkę muru więziennego. Wsadzono go do sanek wraz z pastorem. Rozległy się dzwonki... sanki ruszyły w drogę na plac stracenia, otoczone oddziałem konnej żandarmerii.

Tymczasem na ulicach miasta rozlepiano afisze następującej treści: „Dnia dzisiejszego o godz. 8 rano będzie karany śmiercią za zbrodnie stanu emisariusz Szymon Konarski. Miejsce egzekucji na placu trawienia za Trocką bramą. Ktokolwiek chce być obecnym sprawiedliwej karze zbrodniarza, może się tam udać”. Ludność wileńska z bólem w sercu, ubrana żałobnie, zgromadziła się licznie wzdłuż trasy, której miano wieść skazańca i na miejscu stracenia. O pół do dwunastej ukazały się sanki z Konarskim, tłumy zafalowały, rozległ się płacz kobiet... Konarski wzruszony zwrócił się do żandarmów z westchnieniem: „Rozstapcie się! Przecież widzicie, że lud chce mnie zobaczyć i pożegnać!” Żandarmi spełnili prośbę skazańca... Sanki pomknęły chyżo ku rogatom, na Pohulanke, gdzie miała się odbyć publiczna egzekucja.

Na olbrzymim placu stały już w pogotowiu szeregi wojska, pod dowództwem gen. Kwietnickiego. Odczytano wyrok, pastor Lipiński podszedł do Konarskiego, ten uściśnął mu dłoń, następnie kiwnął przyjaźnie głową do młodych oficerów rosyjskich, którzy zbliżyli się do więźnia i uściśkali go serdecznie ku oburzeniu generała Kwietnickiego. Konarski zwrócił się do niego z prośbą o niezawijanie oczu chustką, lecz generał odmówił. Wówczas dwóch żołdaków uchwyciło Konarskiego pod ręce i zaprowadziło do szupka o bok wykopanego dołu na środku placu. Nałożono na skazańca śmiertelną koszulę, postawiono przy szupku i zawieszano w tył ręce oraz zasłonięto oczy. Pluton egzekucyjny składał się z 12 żołnierzy, którymi dowodził podoficer, bo oficer udał chorego i nie przybył, żaden zaś z jego kolegów nie chciał go zastąpić. Uderzono w bębny, odezwały się piszczałki, rozległ się szezęć karabinów...

Zaszlochał tłum... „Jeden Konarski miał uśmiech na twarzy, a nie było tu udanie, albo brawura. Nie, ten wzrok był taki jasny, czoło takie pogodne, a na całym obliczu rozlana jakaś błogość. Zdawało się, że widziysz wieszczą w chwili największego natchnienia, który za chwilę zanuci pieśń zmartwychwstania” (Sobarr: Obrazki litewskie, Tygodnik Wielkopolski, 1874). Padły strzały, trysnęła krew, Konarski przesyty pięciu kulami osunął się na prawą stronę, głowa pochyliła się na lewo i tak zawiśł na wieżach, którymi był przymocowany do szupka. Jęknął tłum, zahuczały ponownie ze zdwojoną siłą bębny, zagrała muzyka i wojsko ruszyło marszem paradyńskim dookoła dołu.

„Rzuciliśmy się — pisze Edward Pawłowicz — razem z tłumem przez te szeregi ku mogile, aby ujrzeć jeszcze raz rzuconą w kajdanach do dołu ofiarę... Tratowano nas, bito korbami, aleśmy unieśli garstkę skrawionej ziemi — symbol miłości i poświęcenia dla niej” (Wspomnienia z nad Willi i Niemna. Lwów 1882, str. 108-9).

Maczano chustki we krwi skazańca, darto na pamiątkę strzepy jego ubrania, wyrwano żołdakom czerwoną czapkę i piaszcz. Policja była bezradna. Musiało interweniować wojsko, które wyparło tłum z placu. Ciało Konarskiego złożono w dole i „kazano szwadronowi jazdy tak strasować to miejsce, iżby śladu mogiły nie pozostało; mimo to jednak w nocy mnóstwem wieńców i kwiatów drogi ów grób ustrojono” — pisze Feliński w „Pamiętnikach” (str. 124). Stało się to głównie dzięki staraniom zacnej Polki Antoniny z Sułistrowskich Śniadeckiej. Rzesze wilnian zbierały się przez kilka dni na miejscu stracenia Szymona Konarskiego, kłęczą nad strasowaną mogiłą, oddając hołd bohaterstwu Wielkiego Polaka.

We wrześniu 1839 roku Antonina Śniadecka przy pomocy kilku oficerów wykopała w nocy zwłoki Szymona Konarskiego i pochowała na cmentarzu kalwińskim. Z kajdan, które zdjęto z trupa, poleciała Śniadecka sporządzić 82 obrączki, którymi obdarowywała zasłużone osoby dla sprawy narodowej. To stało się powodem do nowych prześladowań ze strony carskiej policji.



WIERSZ SZYMONA KONARSKIEGO napisany na 24 godziny przed rozstrzelaniem^{*)}

Świat wielki, piękny i w szczęście obfity,
I urok wiosny po nim rozlała natura;
Siłą uczucia mego na pal cierpień wbiły,
Przeżyłem na nim młodość, jak wśród burzy

Uczucie piekłem wstrząsnie, w niebie myśl
wyszpera,

A gdy serce poruszy, w duszy ci osiadzie,
Tak po krawcach świata miotać tobą będzie,
Jak miota głodem okiem na czatach pantera.
O! i ja kiedyś czułem i myśl z nieba brałem,
I z tą myślą, z uczuciem błędziłem po świecie,
Dzisiaj tu na dnie duszy, na sercu zbolałem,
Kamień ciężkiej niedoli myśl i uczucie gniecie.
Do leż dzisiejszych narodu mego,

Co jak mary gryzoty ze snu mi zrywają,
Brakło mi luba tylko jęku twego.
Dziś hymn rozpaczę piersi twoje grają,
Dziś mi nic nie brak, los obficie darzy,

Wszystkie moje nadzieje mięści ta komnata.
Od wszystkich wspomnień oddziela mnie

A przyszłość moja Bóg z katem kojarzy.
Błyszczę wam jeszcze ponad rusztowaniem,
By spełnić wyrok mego przeznaczenia.
Tam was pożegnam spod stryczka chrapaniem
I z sobą wezmę wszystkie me wspomnienia.
Zmęczony ciężkim trudem mego powołania,
Wśród wielu serc przyjaznych poznałem i

Westchnąłem kiedy przyszła chwila pożegnania.
Nad twą przyszłością westchnął anioł w niebie.

Z tułacznych piersi razem z mojem tchnieniem,
Wicher Niemocy zasumiał zniszczeniem,
I zawył burzą nad sercem w pokoju,
Nad twą młodością i nad twą swobodą.

Tys m; jednak otarła łyzy sieroctwa znoju, **)
I dozwoliła chwilę spocząć przy twych nogach,
A gwiazda życia mego strzeliła pogodą.
Ja niebem oddychałem żyjąc w waszych pro-
gach,

Dzisiaj wam zamiast nieba, zamiast odpo-
czynku,

Męki i łyzy rozpaczę niosę w upomniku.
Bom tułacz droga! Ciężka moja dola!
Tchnienie me w śmierci całuny obwija!
Gdziekolwiek stąpie, tam będzie niedola,
Gdzie wchodzić powiem: Chrystus pochwa-
lony!

Gdzie chleb położy na moje przybycie,
Tam opuszczonej matki, jak usłyszysz żony,
Osierotałych dzieci tam usłyszysz wycie.
A gdzie ja czuć przestał, że byłem sierotą,
Gdzie duszę napawałem niewinności tchnie-
niem,

Gdzie serce nie kuwawilo pojone pieszczotą,
Gdzie mię bogdana brata nazwała imieniem,
Tam hyeń przyprowadz do trupiej biesiady,
A hyeńa się wzdrzygnie, łzami spławi oczy
I litości ryk w niebo po ziemi roztoczy.

I nie przyjdzie już więcej patrzeć na te ślady.
O! ciężka moja dola i oddech mój ciężki,
Jak trupa przed skonaniem; narodowe klęski
Przetopione w mem sercu na trucizny jady,
Pełzają w duszy mojej, jak szkodliwe gady,
I toczą pierś tułacza, jak robactwo zgniłe,
Które rojem napada na świeżą mogiłę.

Myśl, co mię pośród trupów pocieszała umiała,
Myśl wesola, szczęśliwa, jak młoda dziewczica,
Której miłość pierś wznosi i rumieni lica;
Myśl, co w niebie wolności żyję swoje brała;
Dzisiaj ciężarem śledztwa zszarpana, stru-
dzona,

Jak starzec w konwulsjach poci się i kona!
Jeżeli się przypadkiem wykradnie wieczorem,
I do ludzi pobięży przeszłości mej torem,
I zajrzy w serca polskich żon, dzieci, siostr,
matek,

Wnet omdlewa, słabiej, traci sił ostatek,
I co prędzej za kratę ucieka od świata,
Jak męczennik, co wyszedł zgnany z rąk kata;
I wróciwszy zakipi w sercu niewolnika,
Jak jęk męczonych braci, co cię wskroś prze-
nika.

* Szymon Konarski w 60 rocznicę stracenia.
Lwów, nakładem redakcji „Promienia” 1902.

**) Mowa o narzeczonej Konarskiego Emi-
lii Michalskiej i rodzinie Michalskich.

I cóż mi, Panie, po tem spokojnem sumieniu,
Co po chęciach Ci znanych, co mi po tem

chceniu?
Co mi po tem, że zawsze żyłem nie dla siebie,
Że po więzieniu biegam jak pies z głodu

wścicki;
Że łyzy głodu śledczego w oczach mi się spie-
kły!

Ja drwię już teraz z cnoty, ja się z cnoty
śmieję,

Ja szydę z przekonania, co daje nadzieję,
Że szczęście mego ludu tylko się odwlekło,
Ja w Boga dziś nie wierzę — ja mam w sercu

piekło!
Z całą oprawców zgrają szatan w sercu siedzi,
I ucztę królom sprawia wśród brudnej ga-
wiedzi.

Może i ten raz Panie, mię jeszcze próbujesz,
Może za piek.o w życiu Niebo mi gotujesz?
Ale ja Nieba nie chcę, ja Nieba nie czuję,
Ja do Nieba nie pójdę — ja w Niebo napluję.

Ja pójdę szukać ludzi, co bluznili Tobie,
Co, jak Chrystus na krzyżu, ludzkość w sercu

czuli,
I nie mogąc ich zbawić ludzkością się struli.
Ja ich wszędzie wynajdę, za piekłem i w

piekle;
Przyjdę, powitam okiem i raz jęknę wściekle,
Jękiem narodu mego, i powiem im: „Ludzie!

Kraj mój i lud kochałem sercem żony, matki,
Świadkiem dusza rozdarta i łyzy piekła
świadki.

Jam się nigdy nie zmazał w samolubstwa
brudzie,

Żyłem, jak wy żyliście. Niebo jednak chciało,
Bym dla kraju był dżumą, dla serc drogich

katem,
Bym skąpany w łzach bratnich, rozstał się z
tym światem;

Bo mi tylko sumienie spokojne zostało.
Z wysokości więzienia, zakuty w kajdany,
Żegnałem kraj rodzinny i lud mój nękany.
Pożegnałem przyjaciół, kochankę, rodzinę,
I tułaczów żegnałem i przeklęty gine!

Do Nieba iść nie chciałem. bo lud mój w nie-
woli,

Bo Ojczyzna skrawawiona, bo mnie serce boli;
Plunałem więc w to Niebo po zatańsku

śmiało,
Z dusza do was przyszedłem — królom dałem
ciało.

Tutaj odpocznem * chwilę wśród wspomnień
kochanych,

Tu razem czuć będziemy po mękach dozna-
nych.

Tu płakać nam nie wzbronią nad losem Oj-
czyzny —

W Niebie cieszyć się trzeba patrząc na jej
blizny,

Tu ręce sobie damy świata męczennicy,
Naprzód piekło rozbudzę, bo piekło jest stare,
Potem wspólna rozlejem uczu naszych wiarę,
I zadrzą wszyscy króle, zbrodni niewolnicy,
I Niebo się rozjaśni i Bóg się roześmieje,
I Bogu pokłon damy, bo Bóg odmłodnieje.

Ja ci bluzniłem Panie! bluznierstwem tułacza,
Lecz gdzie o przyszłość kraju, o tzy bratnie
chodzi,

Tam lepszy ten, co bluzni, niż ten co rozpacza,
Tam i ciało i duszę potępić się godzi.

Kiedym zebrał po świecie ponury i młody,
Kiedy nadziei gwiazda skroń moją zdołała,
Nie żądałem dla siebie życia, ni swobody,
Myśl zdjęta z krzyża Twego wszystkim dla

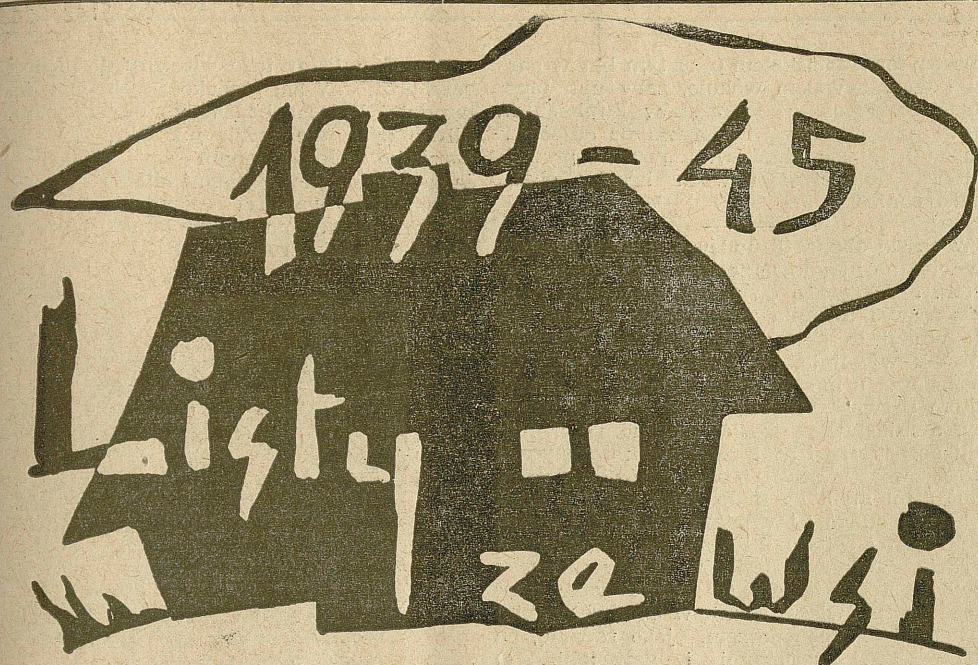
mnie była.

Cieszyłem się tą myślą, jak młodość nadzieją.
Z tej myśli dzisiaj, Panie! tyrańi się śmieję.
Ja dzisiaj męczennikiem myśli Twojej żyję,
Ja krew drogich mych braci i ich rodzin piję.

Aż serce wzdęte żalem rozprysnie się, peknie.
Tak, że aż Niebo Twoje wzdęte żalem jęknie.
Jad z serca mego aż tam, w Niebo trysnę,
I jak sztandar niewoli przed Tobą zawisnę,
I powiem swym krwawym Niebo Ci za-
truje,

Bo przypomnia Ci Panie! co mój naród czuje,
Ja w tej izbie przeżyłem wszystkich serc ka-
tusze,

Stąd wdziałem, jak Polskę zalało łez morze,
Tam nie dbałem o życie, tu nie dbam o duszę,
Ale Polskę zbaw Panie! Polskę wybaw Boże!



Władysław Błachut

W pobliżu Kalwarii Zebrzydowskiej...

Po klęsce wrześniowej 1939 roku przyszło mi — jak zresztą wielu spod chłopskiej strzechy wywodzącym się inteligentom — wrócić w rodzinne strony i związać na długo swe losy z opuszczonym przed laty środowiskiem.

Jest to duża (ponad 400 numerów) wieś w powiecie wadowickim, położona z dala od traktu kolejowego, szosy powiatowej i większego miasta, ale za to szczycąca się starą, już w Długoszewie „Liber beneficiorum” wspomnianą parafią i bliskim sąsiedztwem ze słynną z odpustów Kalwarią Zebrzydowską. Niegdyś przed laty w kółku rolniczym, obok zabytkowego kościołka, mieściła się skromna czytelnia ludowa (nieliczne jej egzemplarze rozeszły się gdzieś w okresie międzywojennym) a w budynku szkolnym jeszcze za moich lat gimnazjalnych (1921 — 1928) funkcjonował dość często teatrzyk amatorski. Nie było dworu, ale przetrwały jego instytucje w postaci aż trzech, zresztą nędźnie wyposażonych, karczem. Wraz z kształtującym się po „chrześcijańsku” przyrostem ludności i nikłym odpływem młodzieży do przemysłu, względnie na emigrację, gospodarstwa chłopskie ulegały ciągiem rozdrabnianiu i przed drugą wojną światową

gęste komórki informacyjne. Początkowo żywe słowo zastąpiło prasę podziemną, a krąg jego odbiorców ustawicznie się powiększał. Nie można było w tym czasie — tak skąpym dla nas w pocieszające wydarzenia — opędzić się niecierpliwym i żądnym nowin chłopom.

Pamiętam, gdy tragiczną wiosną 1940 roku z książką w ręku uciekałem w pole, między szumiące łany łąk i zboża, niedługo zjawiał się przy mnie ktoś z sąsiedztwa, komu nieopatrnie zdradzono moją kryjówkę. Zamiast samotnej lektury wnet rozpoczynały się długie i czasem — wybaczcie znajomi czytelnicy — nudne i jałowe rodaków rozmowy...

Gdy latem 1940 roku pierwszy samochód gestapo po wyschniętej drodze dotarł do wsi i wyrwał bezpowrotnie z naszego grona, spod ojcowskiej strzechy, młodego podporucznika rezerwy i wyższego urzędnika kolejowego Józka S., wrocie nastawienie mieszkańców wsi do Niemców uległo zrozumiemu spotęgowaniu.

Niestety już w drugim roku wojny zaistniał w tym jednolitym początkowo froncie pewien i to dość poważny wyłom. Miał on u nas podłoże wyłącznie ekonomiczne. Dążąc do ujęcia i gospodarczego opanowania chłopskich rezerw aprowizacyjnych i personalnych, Niemcy „papką i solą” zdołali pozyskać dla swoich posunięć gospodarczych zbyt gorliwych pomocników w osobach niektórych funkcjonariuszy gminy zbiorowej, targowników, kierowników mleczarni, młynarzy oraz sołtysów. Ci znowu, dysponując poważnymi początkowo zasobami poszukiwanych w tym czasie artykułów pierwszej (cukier) i drugiej (wódka) potrzeby oraz wyposażeni w znaczne uprawnienia (wyznaczanie kontyngentów, przymusowa rekrutacja na roboty do „Reichu”) musieli szukać pewnego oparcia u mieszkańców poszczególnych gromad. O ile chodzi o moją wieś rodzinną znaleźli jej wyłącznie u kilkunastomorgowców i paru podejrzanej kndulity osiadłych na wsi przybłądów. Ogromna większość chłopów, a w tym cała prawie młodzież i biedota chłopska nie dała się skusić żadną przynętą i nadal trwała w oporze i nienawiści. Uprzywilejowani, ciesząc się poparciem władz gminnych, a pośrednio Niemców, zaczęli korzystać z widocznych ulg przy wyznaczaniu kontyngentów zbożowych i żywności, a także ich rodziny były z reguły omijane przy rekrutacji robotników do Rzeszy. Równocześnie na biedniejszych nakładane były nieproporcjonalnie wysokie ciężary kontyngentowe. Tak samo wysyłce do Rzeszy podlegali prawie wyłącznie najbiedniejsi. Zdarzało się, że biedak oddawał na kontyngent ostatnią krowinę i wysyłał trzecie dziecko do Niemiec, gdy równocześnie u cięszącego się poparciem władz gminnych gospodarza na kilkunastu morgach pasły się na pastwisku trzy tłuste krowy, a dorodne córki i synkowie stroili się w miejskie szatki!

W końcu jednak przebrała się miarka. W sprawę wdały się zdecydowanie działające w okolicy organizacje podziemne, a w szczególności nasze dowództwo oddziału Batalionów Chłopskich. Przede wszystkim wysłaliśmy stosowne ostrzeżenia do czynników gminnych a nadto złożyliśmy „wizyty” szczególnie bogatym się na wojnie urzędnikom gminnym i oddanym im gospodarzom. To powoli otworzyło im oczy i przyprowadziło do przytomności. Biedacy odczuli ulgę. Władze gminne zamiast iść gorliwie na rękę Niemcom zaczęły się z nimi trochę targować i świadomie fałszować gospodarcze wykazy gromadzkie. Zamiast oddawać kontyngenty w wyznaczonej wysokości i licytować się w rekrutacji polskich sił na roboty w fabrykach niemieckich, funkcjonariusze gminy przedstawiali Niemcom różne trudności a nadto zaczęli względem Niemców stosować znośniejszy dla chłopów system łapówek pieniężnych i kucharów w naturze.

Wszyscy wiedzieli, że to otrzeźwienie i zmiana taktyki władz gminnych ma swoje źródło wyłącznie w działalności „dydaktycznej” partyzantów. Toteż młodzież chłopska garnęła się żywo w szeregi partyzanckie (przede wszystkim do Batalionów Chłopskich) i przejawiała tam wysokie zdyscyplinowanie i ducha bojowego.

Wprawdzie wzrosła w tym czasie, zwłaszcza wśród młodzieży, konsumpcja alkoholu i produkcja samogonu, ale środek ten służył raczej do uspokojenia ustawicznie podnieconych nerwów, niż do wywoływania piąskich burd i bijatyk. Nadto samogon stał się przedmiotem handlu i wymiany z ludźmi z miasta. Wymiana ta była u nas bardzo żywa i prawie nie było domu, gdzieby przynajmniej dwa razy w roku nie odprawiano tajemniczych zabiegów rzeźniczo — masarskich. Połączone to było z koniecznością nawiązania ścisłych kontaktów z posterunkiem policji polskiej w sąsiedniej gminie. Policjanci, pobierając odpowiednie podatki w naturze, lojalnie przytykali oczy na to, co się działo we wsi i nie tropili zbytlibo przewoźników „ra-banki” do miasta.

Teodor Goździkiewicz

Narady o kontyngentach

Temperatura bocheńskiego zachwytu wojną opadała stopniowo z roku na rok, w miarę jak czynnik regulujący dobierał się do zasobnej skóry. W początkach, kiedy jedynym dobrem wojny okazał się szalony wzrost cen i łatwość kupna wartościowych rzeczy — wojna okazała się interesem wcale zyskowym. Te czy owe mankamenty przemiany stosunków, co dotknęły przeważnie poszczególne jednostki, nie miały większego znaczenia. Nad trupami trwała radość. Nad robotnikami przymusowo zwerbowanymi — bardzo rzadko w początkach — śpiewano pieśń wesela: „sto lat!”

Oknami buchała radość na drogę i pola.

Ale przychodziły ograniczenia w przemiale — były zresztą najczystsza fikcją w praktyce, — kontyngenty: zbożowe, bydłowe, świńskie, drobowe, jajowe, lniane, ziarnowe, owocowe, pierzowe, warzywne, miodowe, ludzkie i — jako konsekwencja tego — łapanki, krycie po żytach, po polach, po schronach. Piomienią tarcza wojennej słońca zaczęła się coraz bardziej chmurzyć, nuta muzyki wojenno-ekonomicznego powodzenia decendo obniżać, ściszać, zapadać. Rzeczywistość pokazywać zaczęła ostre zęby prawdy. Dawała się ona co prawda stosunkowo przedko łątać, prędko zamazywać: pieniądź, a zwłaszcza wojenne złoto: żywność, neutralizowały przykre strony wojennej rzeczywistości. Jednak był to cień w puchowej poduszce żywota zasobnego Bochenia.

Spryt czynnika decydującego postawił sprawę kontyngentów w ten sposób, że rozbieżności techniczne ogólnej liczby ciężaru zlecił na czynniki pseudosamorządowe. Dało to przedziwne efekty. Obrzydliwie wytarty komunał o dzieleniu i rządzeniu hasał wtedy, co się zowie, i nabrał niezwykłych rumieńców świeżości.

Pieniąctwo, skargi, interwencje rozhułały się w oszalałym sposob. W ramach wsi animozje, starcia, pretensje wzrosły w zdumiewający sposób. Te spiecia prześwieślały wieś do samego rdzenia, do dna jej najgłębszej treści. Na ustach znalazło się wszystko do najintymniejszych rzeczy włącznie.

W roku 1943 przy skłonie lata Bocheń przy rozdziale kontyngentów przeszedł samego siebie. Od roku 1940 ciężar kontyngentowy stopniowo się zwiększał. Czynniki decydujące śrubę obciążenia przykręcały coraz bardziej. W ramach ogólnej akcji kontyngentowej ciężar wzrastał z roku na rok, ale w granicach gminy powiększał się tym bardziej i spadał na Bocheń. Było to prawdopodobnie skutkiem rozgłosu o bogactwach Bochenia, który mimo wysokich świadczeń ogólnych jeszcze posiadał tak wielką zdolność nabywczą.

Oczywiście, mimo zachowania pewnej dyskrekcji w owym szale kupna i sprzedaży, trudno było jednak ukryć owe fortepiany, motory i kanapy. Stąd prawdopodobnie płynęła owa skłonność czynników decydujących do otaczania Bochenia specjalną opieką, staraniem i liczbą.

Każde zebranie było wymuszone i posiadało liczną frekwencję zapewnioną. Ten wypadek jednak — rozdział kontyngentów w samej wsi — ze względów zrozumiałych budził szalone zainteresowanie. Głuche wieści krawiły między ludźmi o globalnej liczbie metrów rozłożonych na wieś. Coś nie coś wywickło też przez szpary domu, w którym obradowała wiejska komisja kontyngentowa. Słuchy niesły, że podobno stroniczo przydzielano: że ten — tyle... że ten, to tyle... a ten — to znów tyle... itd.

Maciej Czula

Wysiedleńcy na wsi

Pierwsza wielka lawina wysiedlonych Polaków z Poznańskiego i samego Poznania spadała na Brzesko a potem powiat w r. 1940. Wyrzucono wtedy na stacji Słotwina Brzesko około 1.000 osób łącznie z kobietami i dziećmi, usuniętych z domów i mieszkań w Poznaniu w przeciągu pół godziny z całym pakunkiem (do 20 kg) oraz czterdziestu złotych na osobę. Wszystkich tych ludzi umieszczono naprzód przed odtarasportowaniem w obozach przejściowych, gdzie podano ich gruntownej rewizji, w czasie której zabierano złoto, kosztowności i inne wartości, rodzinne. W poszukiwaniu ich robowano płaszcze, kołnierze, buty, a za ukryte przedmioty bito wszystkich do nieprzytomności. Tam już ludzie nabawili się — młysz, kając w strasznych warunkach i spoczywając na zgnieź, zawzonej słomie — pierwszych chorób, jak tyfus, czerwonka i t. d. Ponieważ była to zima, a wagony, którymi transportowano nieszczęśliwych wysiedle-

Dopiero w 1944 roku te stosunkowo znośne stosunki uległy brutalnemu zamęceniu.

Na skutek wysiedlenia dwóch pociągów w najbliższej okolicy i stwierdzonej obecności oddziałów partyzanckich w kalwaryjskich lasach, Niemcy dobrali się po swojemu do naszej wsi. Pewnego ranka nadjechali znie-nacka licznymi samochodami i rozwinąwszy się w tyralierkę pomału otoczyli całą wieś. Wielu młodych zdołało umknąć w lasy, wielu w ostatniej chwili zdążyło swą partyzancką broń przemysłnie ukryć lub wrzucić do studni. Niemniej kilkunastu młodych chłopów i gospodarzy zostało zabranych a kilka domów pod lasem doszczętnie spalonych. Nazwiska zabranych czytałem niedługo potem na słupach w Krakowie, wśród innych wybranych do rozstrzelania bohaterów. Zaden z nich nie wrócił już do rodzinnej wsi.

Dom Ludowy był świadkiem reakcji plenum wsi na skutek ogłoszonych wyników uchwały wiejskiej komisji.

Nabity był po brzegi ludźmi i odpowiednio zadymiony. Wchodzi komisja i sołtys odcytuje listę nazwisk z wysokością metrów zboża.

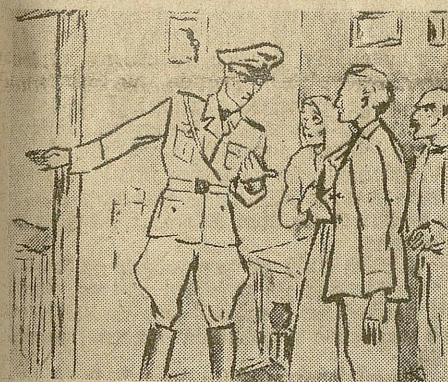
I tu po odczytaniu następuje prawdziwe przedstawienie. Najpierw trwała chwila ciszy, jakby zebrani przetwarzali pierwszy moment przerażenia: plotki okazały się prawdą. Ten, co ma mniej ziemi, ma za mało. Ten, co ma więcej ziemi, ma za dużo. Ten, co ma więcej ziemi, za mało. Ten, co ma mniej ziemi, ma za dużo. Zależnie od tego, kto to wypowiadał. Jeśli ja, to za dużo. Jeśli on — to za mało. Za mało czy za dużo?

Ale nie to jest ważne.

Po kilku rzadkich krzykach namiętne głosy oskarżeń wybuchły w pewnym momencie ze wszystkich gardzieli i zlały się w jeden potępieniowy ryk, od którego zdawało się, że pękają ściany rudery Domu Ludowego. Krzyki, kłatwy, wymysły uczyniły zgłębliwy charkot, w którym trudno było uchwycić jakieś pojedyncze zdanie. Skakano sobie do oczu, do twarzy i omal że nie doszło do rękoczynów.

W tej dyskusji powiedziano sobie wszystko, co tylko było do powiedzenia: wszystkie kupna wojenne, wszystkie zdobycze wojenne. Rozstawiano sobie familie po najgorszych kątach. Tu się nie ukryło nic, tu powiedziano sobie wszystko.

Naczelnym motywem było: ja mam za dużo, mój sąsiad ma za mało. A ponieważ ta inteligentna miara zyskiwała wagę w ustach



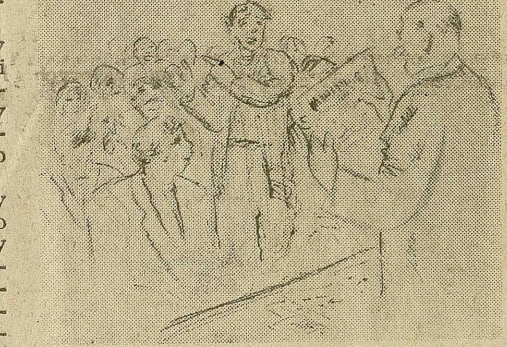
rys. Krystyna Hierowska

wą przeważały tam zdecydowanie „gospodarstwa” karłowate, przeciętnie czteromorgowe. Średniaków, właścicieli „majątek” — o obszarze od 10 do 15 morgów było zaledwie kilkunastu. Jedynie stary, cichy i lubiany proboszcz gospodarował na 20 morgach. Bezrolnych i komorników było też kilku.

W mojej wsi rodzinnej dość długo nikt nie widział Niemca. Wojna przeszła stronami, a brak dostępnych połączeń komunikacyjnych nie sprzyjał nieorganizowanemu jeszcze wypadom gospodarczych okupanta. To też wieś nasza wnet stała się bezpiecznym jak narazie azylem dla kilkunastu uciekinierów ze Śląska i z Krakowa oraz wdzięcznym terenem „wywieciek” aprowizacyjnych bardziej przedsięwziętych ludzi z miasta.

O ile chodzi o postawę chłopów — to zaskoczyła nas wszystkich. Biorąc pod uwagę nędzę wsi i upośledzenie polityczne chłopów z okresu schyłkowego ery sanacyjnej, liczyliśmy się poważnie z tym, że Niemcy za pomocą pewnych posunięć natury ekonomicznej mogą zyskać w masach chłopskich oparcie, czy nawet sympatie. Tymczasem w naszej wsi, która — jak wspominałem — dość długo nie zetknęła się z okupantem, od razu spotkaliśmy się z odruchem powszechnej, spontanicznej do niego nienawiści, wypływającej wyłącznie z pobudek natury idealistycznej (zabór Ojczyzny, zniszczenie polskiej armii, prześladowanie polskiej inteligencji), bo przecież żadnych posad czy beneficjów chłopci nasi nie potracili.

Uciekające z miasta przed represjami wroga grono inteligentów a także kilku Żydów znalazło w naszej wsi stosunkowo bezpieczne schronienie i mogło liczyć na pomoc i dyskrekcję wobec czynników niepowołanych. Nie trzeba było w tym czasie podsycać, lecz raczej hamować chłopskie przejawy żywiołowej nienawiści do Niemców. Każdy z nas rychło stał się na wsi autorytetem w sprawach wojny i pokoju. Młodzi i starzy, męż- czyźni i kobiety ustawicznie nagabywali nas pytaniami w rodzaju: kiedy alianci pobiją Niemców? ile ziemi im odbierzemy? kto będzie lepiej? itp. W ten sposób jeszcze przed oficjalnym zawiązaniem się organizacji podziemnych powstały na wsi kółka ruchu oporu i



rys. Stefan Just

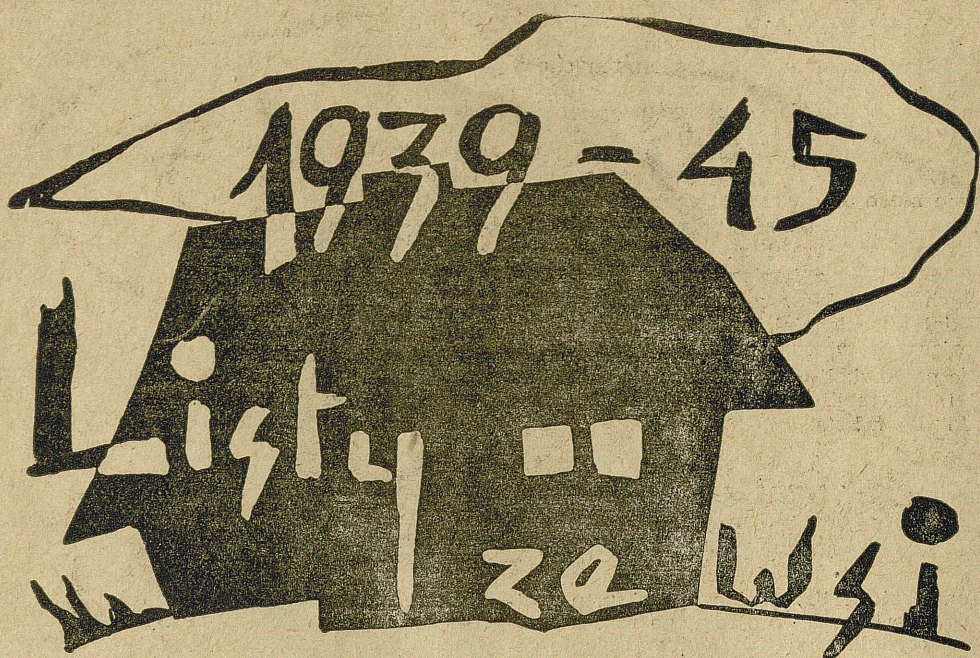
każdego i każdy ją wygłaszał, więc wszyscy byli pokrzywdzeni i uważali, że są pokrzywdzeni na korzyść sąsiada: bogatsi na biednych, biedniejsi na bogatych.

— Ja mu dzieci nie narobiłem! — wołają grubi bezzdietni.

— Ja mu ziemi nie zabrałem! — dodają usprawiedliwiająco ci, którzy się bronią przazrudem posiadania większego gospodarstwa.

Komisja była, dla dodania powagi jej urzędowaniu, złożona z odpowiednio grubszych gospodarzy, stąd więc interes matorolnych i biednych nie został wzięty pod uwagę. Jedni więc uważali, że im się stała krzywda, bo na dzieci nie zwracano uwagi, drudzy byli zdania, że dzieci są prywatną sprawą, a tylko ziemia ma głos.

Siedząc w kurzu i pajęczynie na strychu Domu Ludowego dla wysłuchania właśnie tych obrad przeżuwałem gorzkie myśli.

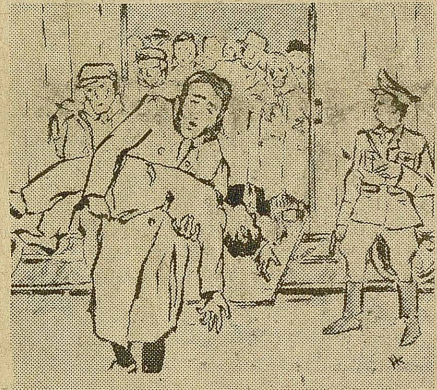


— a najwyższe trzy-izbowe pomieszczenia, a z powodu znacznej ilości dzieci w mieszkaniach jest zawsze ciasno. Nie było zatem miejsca dla obcych przybyszów, mimo to rozmieszczono po ciasnych izbach setki ludzi przyzwyczajonych do dobrobytu, nawet luksusy i kazano im mieszkać w tych często brudnych, przesiąkniętych wilgocią izbach, spać na słomie lub w stajni czy stodole.

Ponieważ przydzielano żywnościowe dla tych wysiedleńców były nader skromne, nie dawano dzieciom mleka ani tłuszczu, mnożyły się choroby. Kwitło zębractwo, albo też biedni ludzie zaczęli masowo opuszczać przydzielone im wsie i mieszkania i uciekać z powrotem do swoich stron rodzinnych lub do jakichś krewnych mieszkających w pobliżu. Część ich w drodze wytapano i wysłano za karę do obozów pracy lub Oświęcimia. W r. 1941 zajęły na stację w Brzesku dwa pociągi wiozące znowu kilkudziesięć rodzin chłopskich, często najlepszych i najbogatszych gospodarzy z okolic Łowicza i Zamoszczyzny, gdzie osiedlano na ich gospodarstwach Niemców.

Tragedia tych wysiedleńców była straszna. Przyzwyczajeni do pracy w sobie i odpowiedzialnej stopy życiowej znaleźli się nagle na łasce nie bardzo życzliwej, bo biednej ludności miejscowej, która by może przysparzała z ochotą wysiedleńców, gdyby sama miała co jeść. W dodatku Niemcy kontyngentami i rekwizycją żywności wyniszczali okolice całkowicie.

Jakże w takich warunkach mogli nieszczę-



rys. Krystyna Hierowska

śliwi łowiczcy chłopcy znaleźć opiekę i przytułek u chłopów, którzy sami przymierali głodem? Cóż ci ludzie mogli znaleźć tam, gdzie już nie było co jeść? Mimo to dawano się im łyżkę strawy i słowo pociechy.

Niedługo zaczęły się nieporozumienia, kłótnie, nawet bijatyki, które likwidowała granatowa i niemiecka policja, znęcając się zarówno nad przybyszami jak i miejscowymi, karząc straszliwie za wszelkie objawy niezadowolenia.

Dużo z wysiedleńców okazało się wielce pożytecznymi ludźmi imającymi się każdej dostępnej dla nich pracy. Robili powrozy, miotły, cebrzyki, strugali szufle i robili na czynia kuchenne, pomagali wydatnie w go-

spodarstwach zamożniejszych właścicieli służąc im po prostu radą i doświadczeniem. Ale trafiali się i ludzie słabi, wykołnieni, niezdolni do czynu ani wydajniejszej pracy. Ci stali się ciężarem wsi. Rozpaczali ciągle nad swoim losem, wyplakali sobie codziennie oczy, myślami byli daleko w swoich rodzinnych gospodarstwach, nigdy nie zdołali się pogodzić z losem i zarabiać na swoje i rodziny utrzymanie. Ci byli trudni do współżycia i ciężko z tego powodu pokutowali.

Innego rodzaju osadnikami z miasta na wsi była inteligencja, pochodząca z chłopów, która zjechała do swoich rodzin na wieś lub krewnych i znajomych i tu mieszkała przez cały czas okupacji, o ile jej Niemcy nie potrzebowali i nie wywieźli do Oświęcimia. W powiecie Brzeskim dużo mieszkało podczas okupacji urzędników, profesorów, inżynierów i nauczycieli, których niemieckie władze usunęły z posad.

Energiczniejsi z nich jeli się handlu i dorabiali się fortun. Bardziej ideowa ich część wolała wrócić na wieś pod chłopską strzechę, uświadamiać ludność i urabiać wrogi nastroj do okupanta. Organizowali, przeważnie tajne nauczanie na wsi, przysposabiali dzieci do egzaminów, podnosili sąsiadów na duchu. Emigracja ta dała chłopom dużo korzyści duchowych a w szczególności młodszemu pokoleniu i dotąd ją chłopcy bardzo mile wspominają.

Najniebezpieczniejszą i ponoszącą największe ofiary w czasie okupacji była bez wątpienia inteligencja żydowska wyrzucona z większych miast Polski Centralnej, ze swoich biur, szkół, lokali handlowych i t. d. Ścigani i prześladowani nieczym zwierzyzna leśna — nieszczęśliwi Żydzi osiedlali się gdzie mogli po wsiach i miastach, na przedmieściach i dzikich ustronniach, kryjąc się na całe dni w lasach i wertepach. Ci, których chłopcy zdołali ocalić, pochrzczili się przeważnie i pożyli potem z wiejskimi dziewczętami.

Jak koszmarny sen przypomina mi się tu tragiczny los pewnej inteligentnej rodziny żydowskiej z Warszawy, osiadłej w powiecie Brzeskim. On, adwokat z zawodu, wysoki, pulchny, o śmiałym wejrzeniu mężczyzna, jego żona przystojna, uprzejma i miła kobieta i córka 15-letnia może panienka o pięknej, zamyśnionej, zrezygnowanej twarzy. Wyszukał ich jakiś granatowy policjant i przywiózł na chłopiskiej furze do Brzeska na miejsce hitlerowskiej kazi — Zamknięto ich na noc do lochu, a rano zbior hitlerowski odprowadzał ich co pewien czas pojedynczo na żydowski cmentarz i celnym strzałem w tył głowy pozabawiał życia. W ten sposób zginęło w czasie okupacji setki i tysiące Żydów. Mało kto z nich ocalał.

Z chwilą ucieczki Niemców uciekinierzy, względnie przymusowi osadnicy wyruszyli masowo pieszo, furmankami, autami i pociągami do swoich miejsc zamieszkania. Niektórzy z nich tak się zżyli ze swoimi chłopskimi gospodarstwami, że wielu z nich utrzymuje kontakt ze wsią conajmniej korespondencyjnie.

Maciej Czula

Adolf Olechnowicz

Spotkania wojenne

Było to na kilka lat przed wojną. Jak wszyscy chłopcy w Polsce, tak i my robiliśmy już bokami. Jakikolwiek produkt rolny wywoziło się na rynek, trzeba go było oddać za beczkę. A sekwestrator wprost okrzykiem się dziwił na gospodarstwie, bezlitośnie je opieczutowywał i wcale nie na żarty groził licytacją.

Trzeba się ratować!

Ale jak?... Rok chudy — w stodole, w spichrze, w piwnicy tyle, że i dla siebie nie wystarczy. Trzeba jednak coś sprzedać. Ładujemy wóz ziemniaków i wio do miasta.

Na rynku, chłopów jak mrowia. Ten sam kłopot, co nas, przynęcał tu setki innych. Ceny (i tak niskie) zaczęły spadać do niewytrzymania. Za kwintal ziemniaków nie chcą płacić i trzech złotych. A tu już wieczór za pasem. Niektórzy z pełnymi wozami odjeżdżają do domu. Ruszamy i ja, choć przecież wiem, że do chaty nie mam pociąg wracać bez dwudziestu trzech złotych i osiemdziesięciu groszy, które potrzebne są do wstrzymania licytacji. To też jadąc ulicą rozglądam się jeszcze za kupcem, jak tonący za deską.

— Po ile ziemniaki?... — odezwał się, jak zbawienie jakiś głos z chodnika. Zatrzymałem konia natychmiast, obejrzałem się...

— Po trzy złote, proszę panią... — powie-

działem tonem, jakbym o łaskę prosił stojącą na chodniku elegancką, młodą panią.

— O! tak drogo!... — ale do wozu podeszła i ziemniaki oglądała.

— To stanowczo za drogo. Zabiorę wszystkie, ale po dwa i pół za kwintal...

Cholera człowieka brała — ciemno w oczach się robiło i z powodu katastrofy, która nad gospodarstwem wisiała i z głodu: od śniadania z barszczu i ziemniaków przez cały dzień nic się do ust nie włożyło i w tabakierce ani szczypty machorki...

— No więc jak?... Jeżeli po dwa i pół, to więcej.

Nie wytrzymałem.

— Pani mówi, że to za drogo. W takim razie ja Pani darmo je oddam. Wysypię tu zaraz na ulicę, ale niech je pani sama zbierze... nie zgadza się Pani?... a niechże pani policzy ile razy ja je zbierałem i na plecach przenosiłem z miejsca na miejsce, ile włożyłem potu i trudu w uprawę, sadzenie, pielęgnowanie, kopanie...

Ale elegancka pani już mnie nie słyszała. Po pierwszych moich słowach obrażona, spojrziała z pogardą, w okamgnieniu wykręciła się, mruknęła coś pod nosem, zdaje się „cham”, czy „Szela” i poszła. Ja też odjechałem, wymyślając po drodze od darmozjadów

i pasożytów. Zaciskałem przy tym bat w garści i wypatrywałem wokół, żeby nim przeźnać któregoś z łobuziaków miejskich, szczerkających z lewa i z prawa na odjeżdżających z miasta chłopów: „...prrr!... prrr!... chłopie, koło ci się u wozu kręci... cha!... cha!... cha!...”

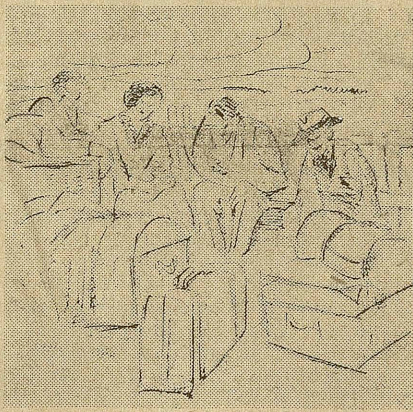
W czasie okupacji ludzie z miasta chodzili na wieś na handlowe zakupy i na własny użytek, a nierzadko do pracy, zwłaszcza podczas żniw i kopania ziemniaków. I choć oni nie umieli w polu robić, ani tak składować, ani tak wydajnie, jak ludzie wsi, płacili im gospodarze u nas tę samą stawkę, co robotnikom ze wsi. „Musimy jakoś przeżyć wszyscy, a miastowym dzisiaj najtrudniej...” mówili gospodarze i przy rozliczeniu dosypywali często „miastowym” ponad umówioną cenę, choć sami mieli za mało, żeby coś i z kontyngentu oddać i inwentarz wyżyć i same mu głodu i chłodu uniknąć. Po całodziennych robocie, zwłaszcza jesienią (kiedy wieczory długie), rozsiadywały się zmordowane mieszczychy na świeżej słomie w izbie chłopskiej i wspólnie z gospodarzem, jego rodziną, a nierzadko i sąsiadami i gawędzili... O czym?... O tym, co było, co jest, co będzie... Wspominali, dyskutowali, prorokowali... A mimo, że byli to ludzie z innego niejakiego świata, o różnych poglądach, o bardzo różnym wykształceniu, znajdowali jakiś wspólny język, wspólną sprawę i w atmosferze wzajemnego, niekłamnego szacunku, szczerze dogadywali się.

Zdarzyło się, że na takim wieczorze spotkał się z ową, elegancką panią sprzed wojny. Chodziła na wieś, jak to sama określiła, „aprowizować się”. Kiedy przypomnieliśmy sobie, zareagowała szczerem, rozbrajającym samoskarżeniem.

...nie znalazł życia. Jako córka wysokiego urzędnika, a potem żona kapitana-lekarsza nie wiedziałam, co to jest praca... Miałam zawsze stoł obficie zastawiony i nigdy mi przez myśl nie przeszło, ile trudu musiał chłop włożyć, by wypracować nam wszystko to, co mieliśmy na stole... trzy złote za kwintal ziemniaków, to było za drogo, ale trzy tysiące złotych za branzoletę, to nie było za drogo... Takich jak ja były tysiące, które żyły kosztem milionów takich, jak pan... żeby nie wojna, nie rozumiałabym tego do dzisiaj... dopiero przez wojnę poznaliśmy siebie i innych...

Marian Minias

Łowiczaki a wysiedleńcy



rys. Stefan Just

Kiedy jesienią 1940 roku znalazłem się z moją rodziną, z kilku rodzinami krewnych w gminie Domaniewice, powiatu łowickiego spotkała nas miła niespodzianka. Przyjechaliśmy z lubelskiego do pewnego kolejarza, krewnego, z myślą osiedlenia się.

W drugim dniu naszego pobytu u kolejarza, przyszedł sołtys ze wsi Rogoźno i zorientowawszy się w naszej sytuacji, zaproponował nam osiedlenie się w jego gromadzie.

Zdziwiliśmy się taką propozycją.

Moja i najbliższe mi rodziny w 39 r. zostały wywiezione w powiat lubelski do wsi Kijany. Przydzielono nas do gospodarzy, którzy mieli 45 mórg ziemi. (Do tych gospodarzy, jako zamożnych przydzielano nas najpierw). Jak zostaliśmy przyjęci — nie warto pisać. Przykro jest pisać. Wspomnę tylko, że jak zrzucono nasze rzeczy na podwórko, tak leżały do wieczora prawie cały tydzień, gdyż nie można było się dowiedzieć, gdzie je umieścić.

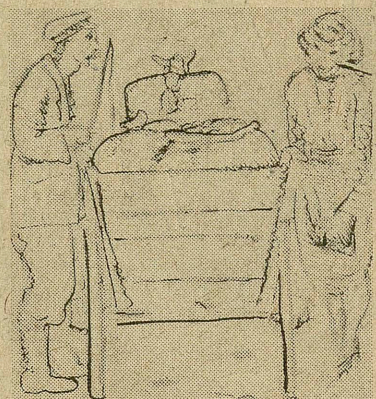
Dopiero służba zajęła się nami. Ubrania nasze i inne rzeczy, jakie pozwolono nam zabrać przy wysiedlaniu, trzymaliśmy albo na strychu albo w sieni, w ciemnym i wilgotnym kącie pod schodami prowadzącymi na strych. Spaliśmy w stodolach (do połowy września, t. j. do czasu wyjazdu w łowickie).

Pracowaliśmy w gospodarstwach od świtu do nocy. Jeślibyśmy musieliśmy sobie na postawionej lepiance po przyjeździe z pola. (Podobnie było ze służbą, która przychodząc z pola, musiała opłacać inwentarz i dopiero sobie gotować obiad czy kolację, co przeciągało się do godz. 12 i dłużej a o godz. 4, a nawet 3.30 była już budzona). To niewolnictwo służby chciało przerzucić i na nas.

Zmuszano nas do pracy w polu w niedziele. Gospodarze ci mieli swoje ławki w kościele i dzieci na studiach, które nie lepiej odnosili się do nas niż ich rodzice. A przecież wśród wysiedleńców byłem też studentem, tylko że biedniakiem.

W połowie września 1940 roku wyjechaliśmy z Kijan; po pierwsze dlatego, że było już zimno spać w stodole, szczególnie dla rodziców, po drugie że nie chciano nam płacić za pracę, po trzecie, że większość zapasu

Rozmawialiśmy tego wieczoru do północy i rozchodziliśmy się głęboko przekonani, że w przyszłej Polsce będziemy umieli sprawiedliwie żyć: nie będzie już tak, że jednym wszystko wolno, a innym — nie, że jedni mają za dużo, a inni głodem i chłodem przymierają. Miarą wartości człowieka nie będzie kieszeń wypchana banknotami, jeno jego praca, wysiłek, trud...



rys. Stefan Just

Czułe przechowuję wspomnienia tego wieczoru, ale przyznam się nie jestem pewien tej pani, córki wysokiego urzędnika, żony kapitana-lekarsza. Mąż zginął. Co ona teraz robi? Ma sklep z kapelusami? Wysłała ponownie zamaż... za kogo? Ile ulotnego wzruszenia wypełniło wojenne jej doświadczenie. To ostre, przejęciowe zdeklarowanie wówczas minęło zapewne i górę wzięło co? Czy nie dłuższe i pełniejsze jej dawne życie i jego styl? Czasami sobie myślę, że gdybym musiał, jak przed wojną znów wyjechać na cały dzień z furą kartofli i wolniutko kraść w kółko po pięciu ulicach — spotkałbym ją napewno. „To stanowczo za drogo” — słyszę jej głos. Wolę ufać nie jej deklamacji i wzruszeniu, wolę ufać ustrojowi, który mój wyjazd, „gonitwę” za odbiorcą, czyni dziś ze zdarzenia typowego dawniej — wyjątkowym, a elegancką damę odgradza ode mnie Spółdzielnia Z.S.Ch. i społeczny przydział. Znikają dla mnie warunki na urazę, znikają dla niej warunki na obrazę i życie w „próżni społecznej”.

ubrań, jak został przywieziony, zniszczyła się przez lato, przy żniwach. Mielśmy mieć płacone za pracę. Kiedy jednak gospodarz oświadczył, że należy się nam pracować darmo, musieliśmy myśleć o innym zarobkowaniu.

Za cztery miesiące pracy nie dostaliśmy ani grosza. Na przejazd pociągiem w łowickie, musieliśmy sprzedać część ubrań.

Nie dziwno, że po takim przyjęciu i traktowaniu nas w Kijanach, stosunek łowiczaków wydawał się nam dziwny i był miłą niespodzianką.

W trzecim dniu po przyjeździe w łowickie a w następnym po bytności sołtysa, przyjechali gospodarze i zabrali nas do siebie, oddając najlepsze mieszkania sprzęt i umeblowanie.

Jak dowiedziałem się potem, byli to wszyscy przedwojenni ludowcy, nazywani z ambon i kół zbliżonych do parafii — komunistami. Podobnie przyjęci byli moi znajomi w powiecie tarnowskim i bocheńskim, gdzie czteremorgowi gospodarze dzieliли się z wysiedleńcami ostatnią kromką chleba, a gdy przyszło gotować zupę ze soku z brzozy też gotowali i jedli wspólnie.

Gospodarze we wsi Rogoźno w powiecie łowickim, u których byli wysiedleni, mieli po kilkanaście mórg ziemi.

Wysiedleni zajmowali się różnymi pracami, które dawali im niezależność materialną. W okresie jednak pilnych robót, szczególnie latem pomagali gospodarzom.

Przez cały czas wojny, wszystkie rodziny wysiedleńców we wsi Rogoźno, nie miały zatargów z gospodarzami.

Po zapoznaniu się bliżej z mieszkańcami tej gromady, przekonałem się, że większość ich czytała tajne gazетки i była zorganizowana w Batalionach Chłopskich.

Przy wysyłaniu młodzieży do Prus, zbierano od wszystkich (oprócz wysiedleńców) pieniądze i opłacano się Niemcom. Dwa razy, kiedy nie można było załatwić w ten sposób, wyznaczono jednaków i to od najbogatszych gospodarzy, którzy opłacili się indywidualnie. Wysiedleńców nie wyznaczano nigdy.

Kiedy w 1944 r. przyjechały w powiat łowicki pierwsze transporty warszawiaków, gospodarze ze wsi Rogoźno, nie czekali na nakaz, lecz sami pojechali do gminy i zabrali pierwsze rodziny.

Choć naogół współżycie między sobą ludzi wsiowych jest łatwiejsze to jednak trzeba stwierdzić, że we wsi Rogoźno, nie było żadnych kłótni między gospodarzami a warszawiakami, (z jednym wyjątkiem, była to stara panna — dewotka, gospodarząca ze swym bratem — starym kawalerem na czterdziestu kilku morgach ziemi).

Ten pozytywny stosunek gospodarzy we wsi Rogoźno tak do wysiedleńców, jak i warszawiaków można przypisać tylko wyrobieniu obywatelskiemu i społecznemu w takich przedwojennych organizacjach jak Stronnictwo Ludowe i „Wici”, które były w tej wsi silnie rozwinięte, również — zorganizowane pracy podziemnej.

Seweryn Skulski

Wieś Kolankowo

Ksiądz wyszedł ze mszą. Gdy po jakimś czasie z chóru dały się słyszeć cicho organy i melodie przyciszone chóru — „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj” i gdy każdy o tym



rys. Krystyna Hierowska

myślał, że jest to chwila „pokoju ludzi dobrej woli” — koło drzwi kościoła wszczął się nagły ruch a głosy rozkazujące i przeraźliwe dąrzy się: Raus! Raus! Alle raus!

Leon Pokora

U źródeł „Wsi Tworzącej”

Akcje „Wsi Tworzącej” można rozpatrywać tylko na tle ruchu socjalnego tj. zorganizowania B.Ch. i A.L. Wsie, w których narosły placówki tych organizacji ze zrozumiałych względów dorastały do kulturowych akcji, gdyż te stanowiły uzupełnienie wyzwolenia socjalno-politycznego.

W pierwszych latach okupacji widzimy na wsi tylko wzmożenie podniecia kulturalnych u nielicznej bardzo grupki utalentowanych. Duże znaczenie miała obniżka cen książek, które teraz ci spragnieni wiedzy zaczęli nabywać i to w dużych nieraz ilościach. Atmosfera polityczna jednak jeszcze nie wróżyła i chłop na ogół zadawał się formami namiastkowymi wyzwolenia tj. ograniczał do myśli o wyzwoleniu narodu. Późniejsze doświadczenie wykazało, że w tych ramach nie było atmosfery, w której może żyć i narastać kultura mas. Wsie, które do końca były opanowane przez N.S.Z. lub nawet A. K. traciły ambicję kulturalną, która rodzi się przecież z ambicji społeczno-klasowej.

Zorganizowanie sił zbrojnych o nastawieniu lewicowym, zorganizowanie szeregu organizacji pomocniczych (L. S. B., Z. K. L. i inne) postawiło sprawę chłopskiej organizacji kulturalnej, jako pilne i konieczne zadanie. Istniejąca „Orka” mogła wystarczać tylko tam, gdzie nie odczuwało się potrzeby organizacji terenowej, a działała elitarna grupa inteligencji związanej z „Rochem”. Lubelszczyzna, w końcowym okresie okupacji, tym się zadowolić nie mogła, i nie chciała. Ruch przybrał formy masowe i zdradzał duże pogłębienie. W okresie, kiedy to w naszym, krańcickim powiecie szalał terror, gdzie indziej nieznany (ruch borowski: zniszczenie kompletne sześciu wsi i wymordowanie cztery spalenie żywcem do dwu tysięcy ludzi) pamiętam taki np. zjazd Z. K. L. w Dzielnikowcach, gdzie w lesie, przez trzy dni, pod osłoną B.Ch. kilkaset dziewcząt mogło nie tylko radzić, ale wystąpić z chórami i t. p. Na zjeździe „Wsi Tworzącej”, który odbył się w budynku szkolnym, wystąpiono z deklaracjami, chórami itp. Tu i owdzie kłówać jął ludowy teatr podziemny. W swojej Wyżnauce mogłem zwołać gospodarzy na zwykłe zebranie „kontyngentowe” — tam całej wsi nałożyć podatek na karabiny i nikt nie opowiadał, ani przez cały okres okupacji nikogo nie zdradził. Inna rzecz, że nie było tam innych ludzi jak z B. Ch. i A. L.

W tym klimacie, który opisuje i J. N. Kłosowski w powieści „Jarmaz”, było już do pomyślenia założenie organizacji kulturowej. Co więcej, mogła ona pokusić się o formy śmiałe, śmielsze niż dzisiaj. Przyczyna tego tkwi w masowości „Roche” (gdyż A.L. dysponowało biednactwem i formami, społecznym elementem nie zainteresowanym żywo sprawami kulturalnymi, w dużej na ogół subordynacji wobec rozkazów, masowości kolportażu własnych pism lokalnych (które miały dodatki literackie) a zwłaszcza w tym, że cała inteligencja ludowa wróciła z miast i pracowała na wsi.

Poszerzała się też baza, dlatego że i element chłopski z A.K. do nas ciągnął, i trudno było przywódcom tego zakazać. Chłop, skuszony własnym frazesem o wyższości „kultury narodowej”, szybko, w zerknięciu z atmosfery „Roche” uczuł się w zaskak. Zebrania mówiły o sile klasy chłopskiej, karabiny B.Ch. potwierdzały to. Kultura miała znęcić ostatnią barierę społeczną, pasując

Zośdactwo tłuło kolbami. Całą ludność wygnano z kościoła na rynek. Przy wyzwiskach, biciu i kopaniu wybrano 84 mężczyzn. Dwom kobietom wspaniałomyślnie krzyżacka pozwoliła zostać wśród tych mężczyzn, gdyż zgodziły się podzielić ich los.

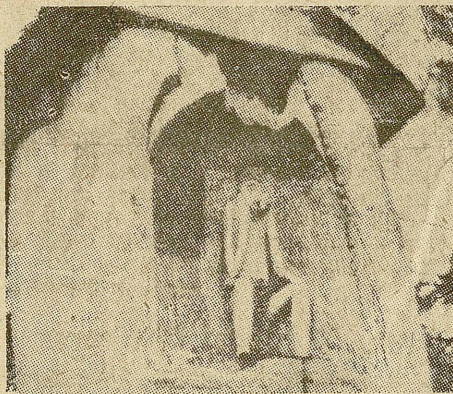
Wybijano im zęby, rozbijano głowy i okładano karabinami. Tak obdarych, skrawionych, pognano pod lasy sosnowy pod karabin maszynowy.

Karabin maszynowy omylił się. Paweł Bukowski upadł tuż przed jego serią. Krzyżacki sądząc, iż już żaden „bandyta” nie wstanie, odeszli. Odszedł także i Paweł Bukowski prosto do lasów Majdanu Górnego i Józefówki. Brał udział w odbiciu grupy Polaków wywiezionych z Łaszczowa do Majdanka, gdzie czterem fryców partyzanci posłali na łono Abrahama, a dwa auta zniszczyli, broń użyli do likwidacji innych fryców. Las, w którym królował Paweł Bukowski fryce omijał z daleka a nie był przecież żaden bohater tylko zwykły szewczyński wiejski, co prócz umiejętności bicia kółków w podszwy, umiał być szwabów jako partyzanta Batalionu Chłopskiego i na harmonijce ustnej grał jak mało kto.

chłopów na pełnowartościowych uczestników kultury narodowej.

Nie przypadkiem tylko było to, że najpierw „Wieś Tworząca” wydała dzieła treści politycznej i militarno-strategicznej. Ciekawe jest to i symptomatyczne, że właśnie na Papiodkach lubelskich istniała samodzielną myśl chłopską, nie zawsze zgodną z Komendą B.Ch. czy polityką „ogólną-narodową” (czytaj — „oficjalną”), ale również z tradycyjnym duchem ludowości.

Formy działalności „Wsi Tworzącej” były wypracowane dla szerokiej inwencji zbiorowej, a przez fakt powiązania z B.Ch. podane sprawdzeniu przez rzeczywistość. Drużyny ratownicze kultury i projektowane Bataliony Kulturalne dawały jako oddziały zdyscyplinowane wobec dowództwa szansę siły materialnej, tak przez fundusze zdobyte w drodze rekwiizycji u złodziei leśnych, defraudantów itp. i normalne akcje bojowe, jak i przez sam fakt istnienia ich siły terenowej.



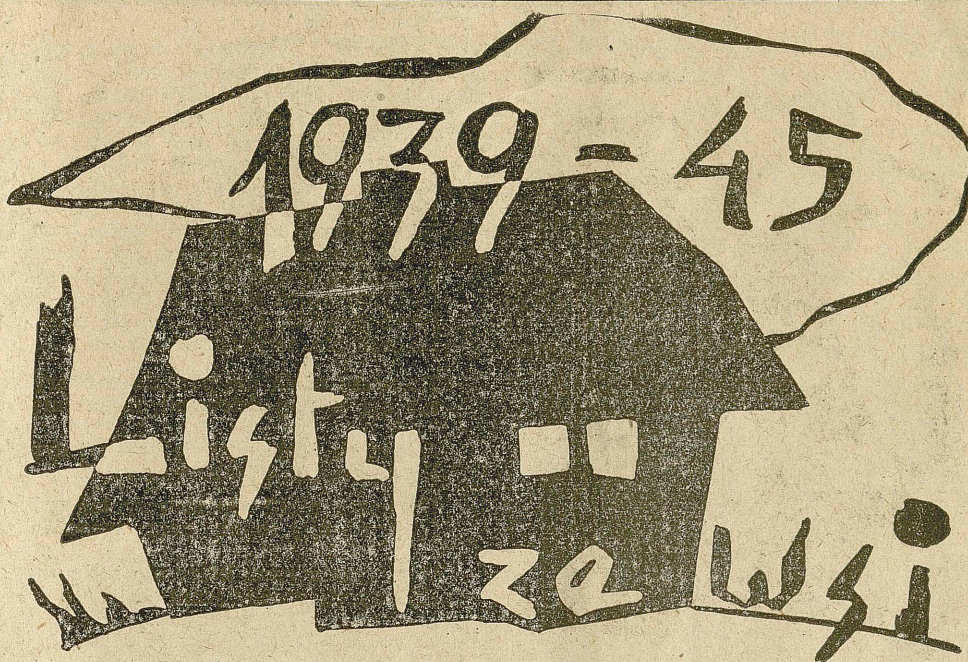
Drużyny te już powstały i rozwijały akcje tak przy ochronie lasów jak i bojowe, na dwory pod administrację niemiecką. Jeżeli kiedykolwiek rozwój techniki zniszczenia i wynika stąd groźba zaniku dóbr kulturalnych, skłoni narody do samodzielnego przemyslenia problemu oddziałów wojskowych na usługach kultury — to w polskim podziemiu ludowym ta myśl już była rzucana.

Środki materialne oddziałów wojskowych kultury miały być zużyte na rozbudowę aparatu organizacyjnego W.T. oraz na akcje kulturalne, mające za cel poza ochroną wartości kultury narodowej, rozwijanie kultury wiejskiej, zwłaszcza przez jak najszersze rozpowszechnianie kultury, wyzyskanie sił twórczych i stała nad nimi opieka.

Wartość ideologii organizacji kultury „Wsi Tworzącej” leży: a) w śmiałym potraktowaniu idei narodu — ludu jako punktu wyjścia narodowej kultury mas, wynikłej z jej czynnej postawy odbiorczej i twórczej, b) w idei powszechnego prawa do twórczości kulturalnej, c) w powiązaniu idei kultury z ideą socjalnej walki, d) wreszcie e) w idei organizacji kultury i planowania, co oznacza zerwanie z kulturą „samorodną” a przejście do planowej ewolucji kulturalnej i e) w świadomej postawie społeczno-kulturalnej, oraz w energii zawartej już w samej nazwie organizacji.

I ta ideologia potrafiła „Wieś Tworzącą” przenieść z wiosek lubelskich na teren całego narodu — i poprzez L.L.K. i „Wolną Gromadę” których to akcje stają w dużym w W.T. związku, oddziaływać w pewnej mierze na kształtowanie obecnej rzeczywistości wiejskiej, w szczególności w ruchu wieśowym.

Zaczęło się od Kmicica. Baza jego znajdowała się pomiędzy jeziorem Narocz, a jeziorem Błędym. Teren bagnisty, podmokły, otoczony lasami z drutów, ubezpieczony placówkami, wywiadem i czujkami, wartownikami, gęsto zadrzewiony, chronił partyzantów. Kmicic zorganizował dwie bazy A i B. W bazie A szkolili młodych podchorążych, w bazie B miał świętego żołnierza, przeszkolonego, w wieku poborowym. Był nim autochton najbliższych okolic. Od baz Kmicica niedaleko było do baz sowieckich pułko-



w walce o ideały demokratyczne jeszcze za czasów sanacji, krewniak takich działaczy jak Komendant Batalionów Chłopskich na Małopolskę i Śląsk Narcyz Wiatr-Zawojna — sam Wiciarz, jeden z najczynniejszych na terenie.

Niesłychanie śmiało wyczyny Sępa w jego partyzanckiej akcji rozstrawiły go szeroko, ale też stały się powodem strasznej tragedii, jaka spotkała najbliższych mu pozostawionych w domu. Oto w któryś lipcowy świt 1944 r. banda hitlerowskich oprawców napadła na dom Sępa mordując w straszliwy sposób 8 osób rodziny, w czym miały udział siostry i matkę starszuskę, której przed zastrzeleniem połamano ręce i nogi, a twarz zamieniono w bryłę krwawej miazgi.

Początkowo pełnił Sęp funkcję kuriera między Komendą Okręgu a szeregiem podgórskich powiatów. Ale za ciano mu było na kurierskich szlakach. Urwał się więc do partyzanckiej organizacji w ramach B. Ch. 30-osobowy oddział. Był to jeden z pierwszych oddziałów północnej ścieżki, najbardziej bitny, najbardziej rzutki i najbogatszy w zwycięstwa.

Omówieniu szerokiej, bo aż na Słowa, czynnej sięgającej działalności tego oddziału i jego dowódcy zamierzam poświęcić szerszą pracę. Tymczasem ograniczę się tylko do podania jednej z bardziej charakterystycznych akcji, bezpośrednio mi znanej, która miała miejsce dnia 16 sierpnia w Jelnej pod Nowym Sączem.

W noc poprzedzającą omawianą operację oddział Sępa dokonał zamachu na kancelarię Zarządu Gminnego w Kobyle-Gródku niszcząc wszelkie listy i plany kontyngentu w ludziach, bydło i zbożu. Tej samej nocy „załatwił” Sęp niemieckie magazyny i wille jednego z wysokich dostojników rządu GG, położone na tak zwanej „Koszarce” nad różnowiskim jeziorem.

Świt zastał grupę w Jelnej, gdzie zresztą kilku żołnierzy miało rodziny i krewnych. Tu też postanowiono spędzić dzień, by odpocząć i nabrać sił do akcji zaplanowanej na noc następną.

Była godzina siódma. Żołnierze ledwo porozciągali znużone kości na zasłużony odpoczynek, gdy z punktu obserwacyjnego przybiegli goniąc meldując, że od strony Sącza konno i na wozach zbliża się silny, około stu ludzi liczący oddział żandarmerii i policji.

Celem Niemców była pacyfikacja opornej gromady i przymusowe zabranie kontyngentu w ludziach, bydło i zbożu. Butni jak zawsze i jak zawsze bestialscy rozpoczęli „pracę” znęcając się nad ludnością i spędzając co młodszych mężczyzn na plac przed sołtysiem.

Sęp kwatrując w domach na krańcu wsi, w pobliżu lasu, miał możliwość wycofania się, co mu zresztą wielu radziło, biorąc pod uwagę zdekomploatowany do 18 osób oddział. Ale Sęp nie byłby Sępem, gdyby nie dźwignął wroga w oko.

Mając duże doświadczenie w tego rodzaju operacjach liczył trafnie na zaskoczenie i to z kilku punktów naraz. Podzielił więc oddział na trzy sekcje, aby uderzyć na wroga od razu w trzech miejscach. Przewidywał, że taka taktyka zdeзорientuje wroga rozproszona.

Jan Nagrabiecki

Garść wspomnień z lasu

Tak tylko mogłem marzyć będąc chłopcem. A jednak na jawie dane było mi to przeżyć. Te cienie rozwichrzone romantycznych młokosów, idących z „Czortowego Jaru” na wschód tuż za księżycowym w tę noc grodem Gedymina w kierunku Nowej Wilejki, te kroki kocię i ściszone szepty.

W siedemnastkę, wyposażeni jedynie w broń krótką i jeden kb, z miasta szliśmy do lasu. Ale początek siły zbrojnej w terenie miał za sobą wtedy interesujące dzieje.

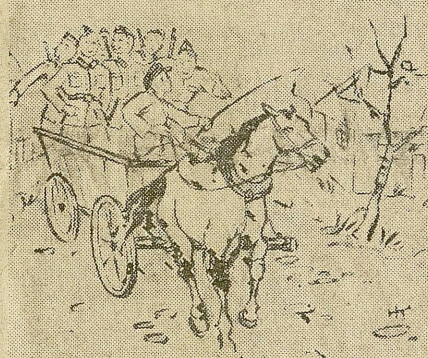
Zaczęło się od Kmicica. Baza jego znajdowała się pomiędzy jeziorem Narocz, a jeziorem Błędym. Teren bagnisty, podmokły, otoczony lasami z drutów, ubezpieczony placówkami, wywiadem i czujkami, wartownikami, gęsto zadrzewiony, chronił partyzantów. Kmicic zorganizował dwie bazy A i B. W bazie A szkolili młodych podchorążych, w bazie B miał świętego żołnierza, przeszkolonego, w wieku poborowym. Był nim autochton najbliższych okolic. Od baz Kmicica niedaleko było do baz sowieckich pułko-

nego po całej włosce i pozwoli na jego pokonanie nawet małymi siłami.

Do sekcji pierwszej wybrał żołnierzy posiadających kompletne umundurowanie niemieckie i objawiając nad nimi komendę poszedł otwartą drogą udając Niemców, z zamiarem dostania się bez budzenia podejrzeń w sam środek wioski. Pozostałym sekcjom polecił podpełznąć zarośniętą ku dalszym partiom włoski, aby objąć działaniem odrazu cały teren i nie dopuścić rozwleczonych Niemców do skoncentrowania sił.

Oddział pseudo-Niemców podjechał tymczasem na przygodnej furmance w sam środek wsi, do miejsca, gdzie kilku żandarmerii pilnowało spędzonych chłopów. Niemcy nie podejrzewając podstępny dopuścili Sępa oko w oko i dopiero gdy Sęp zeskakując z wozu wrzasnął „Hände hoch!” — spostrzegł co się święci. Nim jednak mogli wszcząć alarm już stali pod karabinami, ogłoteni z broni, dygocząc ze strachu jak w ataku febrzy. Ponieważ byli to Ukraińcy znani z okrucieństwa, zostali w chwili później rozstrzelani. Teraz oddał ich Sęp pod opiekę zwolnionych chłopów, a sam udał się w górę wioski. Zastąpił mu drogę kilku Niemców, którzy zorientowawszy się uskokczyli za skalny załom i rozpoczęli ogień z broni maszynowej.

W sukurs w samą porę przysłała z przeciwną strony jedna z pozostałych sekcji, która



rys. Krystyna Hierowska

unięskodziwiła niemiecki kulomiot, kładąc trupem jego załogę. Równocześnie trzecia sekcja rozpoczęła walkę w drugim końcu wioski. Od razu akcja przybrała charakter polowania. Ludzie Sępa tropili Niemców między drzewa i domy waląc do przerażonych jak do zajęcy. Niemcy po bezskutecznych próbach skoncentrowania sił, ostrzeliwując się dosyć gwałtownie ale chaotycznie rozpoczęli beładną ucieczkę, pozostawiając naszym cały tabor.

Po dwugodzinnej walce pozostało na placu 19 Niemców zabitych. Rannych również sporą ilość zdołali wycofując się zabrać. Sęp nie mając żadnych strat poza jednym lekko rannym łącznikiem z poza oddziału — zdobył 12 koni wierzchowych, 4 pary z wozami, 2 kulomioty, 30 kb, 10 MP, 8 naganów i ponad 100 granatów.

A w parę miesięcy później, padł pewnej nocy, niestety od kuli bratniej, zastrzelony znieścacka przez żołnierzy z sąsiedniego oddziału. Tragiczna omyłka i przypadek.

Józef Bieniek

Akcja w Jelnej

Górysto-leśne okolice Podhala stanowiły idealny teren dla działalności partyzanckiej. I toteż niemal od początku okupacji, bo już zimą 1939-40 roku — tu w niedostępnych debrach i parnach Karpat zaczęły się tworzyć pierwociny ruchu niepodległościowego, przekształcone z czasem w otwartą walkę z najeźdźcą.

wództwa polskiego przerwał dobre stosunki pomiędzy oddziałami. Oto co na ten temat powiedział Markow:

„Chłopcy dotychczas żyliśmy w zgodzie. Ale wy sami nie wiecie do czego dążyło wasze dowództwo. Opracowywało ono potajemnie plan zbrojnego zlikwidowania naszych baz. Nasza współpraca dotychczasowa była tylko taktyczna a nie ideologiczna...”

Czas bo to był wzmagającego się terroru niemieckiego w miastach i po wsiach względem ludności cywilnej. Powodzenie akcji wymagało jednolitości taktycznej, strategicz-

skikutysięcznej, częściowo zmotoryzowanej, lotnej brygady, by znaczyć swoją drogę śladami bitew (Pokiernie, Minkowice, Murzyn, Murowana Oszmianka, Worniany, Oszmiana, Troki, Murzyni itd.), budzącymi sensację i nadzieję w sercach ludzi zniewolonych przemocą, znalazłem się między nowymi Krukami, Młotami, Szczerbami, Wilkami, Milimetrami, Leśnymi. O nastrojach poinformuje piosenkę napisaną przez Kima:

Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami
Każdego z nas sumienia wezwał głos.
Przebojem śc, a los iść musi z nami,
Bo jeśli nie, to przełamiemy los.

Bo nasza pieśń nie pachnie rozmarynem,
nie ma w niej dziewcząt, ni pachnących ust,
Jak nasze życie pachnie krwią i dymem;
Pieszczotą rąk karabinowy spust.

Bo nasza pieśń nie brzęczy łańcuchami,
łipi w niej bunt, nasz sprawiedliwy gniew.

Ten przeciw nam, który nie idzie z nami,
Jak wyrok groźny jemu jest nasz śpiew.

...:

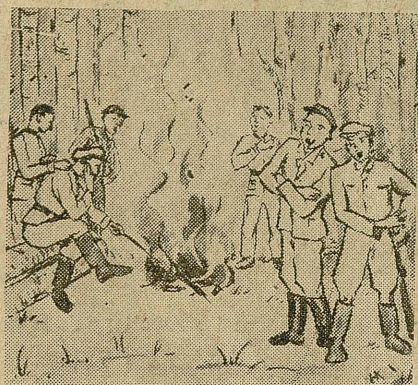
Bracia partyzanci, doleście do czarki,
dorzućcie do ognia nam drew.
Nastroje nam gardła odgłosem fujarki,
wesoly zanuście nam śpiew.
Hoc hoc hoc!
Będziem hulać całą noc...

Oczywiście, śpiewaliśmy dużo i z zapalem. Nie obce nam były piosenki obecnie śpiewane, a więc „Rozsumiały się wierzby płaczące...”, „O mój karabinie!”, „W mogile ciemnej śpij na wieki” — marsz żałobny śpiewany na nutę wesolego krakowiacka i nie tylko wojskowe, bo oto:

Ja chciałbym właśnie,
gdy księżyc zgaśnie,
całować cię i pieścić cię.

Ja chciałbym właśnie,
gdy mama zaśnie...

Jan Nagrabiecki



rys. Krystyna Hierowska

nej, uwarunkowanej tożsamością idei politycznej. Z tego czasu, który został w pamięci jako okres współgrania sił pojedynanych brutalnością wroga hitlerowskiego, zachowała mi się jedna zwrotka często śpiewanej piosenki, napisanej przez kapitana. Oto ona:

Jestem partyzant nie żaden zbój;
Na mnie żołnierski, stalowy strój.
Na czapce orzeł, to jest mój znak,
ten białołoty, niebieski ptak.
Tralala la la lalala la la...

Jak dziś widzę twarze młode, rumiane,
dziarsko śpiewające Kukułki, Wandala, Lwa,
Jastrzębka i innych.

Kiedy po powrocie do miasta ruszyłem
znowu z siedemnastką, mającą urosnąć do

Kartki z pamiętnika

Szanowny Panie Redaktorze!

Kiedy czytałem w liście od Pana: „Chodzi o niewielką wypowiedź na temat Wczasyca wspomnień, obserwacji wydarzeń wiejskich z lat 32-42... a potem „jedno najwyższe pamiętne wydarzenie z wyjaśnieniem społecznych przyczyn” — przypomniał mi się pewien zarzucony pamiętnik. Pisała go, wyjaśniam, — osiemnastoletnia dziewczyna ze wsi. Powie Pan może — co kogo mogą obchodzić dziewczęce pamiętniki. Zgoda. Ale pewnie kartki powinny. Są bowiem dokumentem obserwacji. Jej notatki dotyczą wsi, leżącej kilkanaście kilometrów od Kowla. Wysepka polska, otoczona zewsząd bandami ukraińskich reżimów.

Jeszcze jedna uwaga. Po odczytaniu tego pamiętnika zauważyłem, że autorka nie orientowała się absolutnie w sprawach polityki organizacyjnej. Niech się Pan nie dziwi. Tam większość ludzi nie o tym nie wiedziała. Wyraży A.K., B. Ch., — 27 Dywizja to była dla nich czarna magia, im wystarczał wyraz: partyzanci. Owiewała go mgła legendy. Mgła była, niestety, z tandetnej gazy — rozwiał ją wiatr najcięższych wypadków.

Ci oficerowie i dowódcy 27 Dywizji dbali jak się okazało o swoją legendę, a o ludzi o tyle, o ile chcieli jeść i spać. Może to zdanie jest zbyt gorzkie, ale podyktowała mi je suma doświadczeń i doznanych zawodów autorki pamiętników i jej bliskich.

Kto czytał książkę Zofii Dróżdź - Sałanowskiej p.t.: „Niewydeptane ścieżki” temu zwróć uwagę na fakt, że opisywane tam wypadki dotyczą się często blisko tych z pamiętnika.

Kto czytał powieść J. N. Kłosowskiego p.t. „Jazmo” ten wie o różnicach pomiędzy „górami” a „dolami” w lubelskim. Tu tych różnic nie było po prostu nie było tu B. Ch. Ale między „górami” a „dolami” istniały nieporozumienia i żale po doznanych zawodach, o czym nie mówi już ten dzienniczek. Ale dość, wyciągam parę kartek z pamiętnika.

J. N. Listowski.

Pisane 18 stycznia 1944 roku.

Dziś przybył do wsi oddział Krwawej Łuny. Tak nazywa się dowódca tego oddziału. Ukraińcy wymordowali mu całą rodzinę. Mści się — stąd straszny pseudonim. Partyzantów jest chyba dwustu. My czujemy się całkiem bezpiecznie. Nareszcie tej nocy będzie można wypaść się spokojnie, bez obawy, że banderowcy wpadną rżnąć.

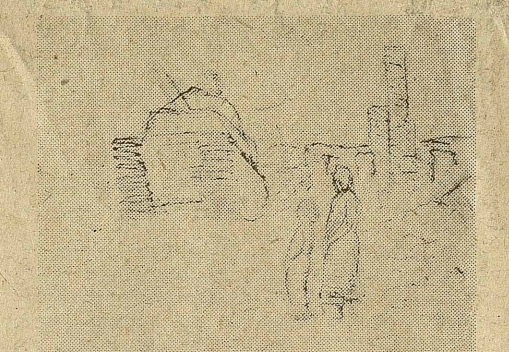
Pisane 20 stycznia 1944 roku.

A jednak nie sprawdzili się moje przypuszczenia. Wczoraj rano za partyzantką przybył silny oddział ukraińskich reżimów razem z Niemcami. Spalili pół wsi. Musieliśmy uciekać. Wcale nie miałam siły po tym tyfusie. Ludzie bardzo boją się śmierci. Uciekali, a mnie zostawili samą. Nie dziwnego, kulki padały obok w śnieg pac... pac... Zupełnie jakby grad padał. Widziałam jak palił się nasz dom. Moje książki. Będziemy mieszkac w chlewiku, bo jest z pustaków i nie spalił się.

To było straszne. Oddział partyzantów stał pod bronia i patrzył. Żołnierze owi gryzli sobie ręce i kłeli, ach, jak okropnie kłeli. Nigdy nie przypuszczałam, że tak można kłać. Podobno kilku zaczęło strzelać do Niemców i byłaby bitwa, ale przyszedł rozkaz: wycofać się i nie strzelać do Niemców. Ale dlaczego? Nikt tego zrozumieć nie może. Takie rozkazy są straszne. Pytałam ojca — też kłnie i mówi, że nie wie i że cholera wie, i żeby już dała mu spokój.

Czarna niedziela 1944 rok.

Ta niedziela nazywa się czarna, bo w kościele zaskanają dziś krzyże. A u nas dziś czarna rozpacz. Zbliża się front. Niemcy cofają się. Lada dzień mogą przejeżdżać przez wieś. Ukraińcy naokoło tylko czekają sposobnej chwili do napadu. Przecież ich to strasznie złości, że wokoło wyrzynie wszystkie pol-



rys. Stefan Just

glam przelknąć ani jednej. Ciagle płacze. Jestem straszna beksa. Nie mogę stłumić okropnego żalu. Może jakoś go wypiszę, ale gdzie tam.

Ojciec kłócił się dziś z jakimś dowódcą partyzantki... „Jak wy możecie opuszczać nas w takiej chwili. Przecież nas tu wymordują”. — „No to co, mamy czekać, żeby i nas wytknęli razem z wami? Jeszcze nam życie miłe”. — „Rozumiem was bohaterzy — myśm was uważały za naszych obrońców. Iluż tu ludzi z sąsiednich wsi i z miast uciekało, bo wyszcie tu byli. Myśleliśmy, że wy tu poto, żeby nas bronić, a wyszcie tu byli dlatego, że na wsi lepiej niż w lesie. Dlatego, że dawaliśmy wam ostatni chleb, ostatnie koszule. Wygodnie wam tu było dziewczęta bałamucić, panowie z miasta. Ale jak prawdziwe niebezpieczeństwo, to u was zaraz rozkaz: nie strzelać do Niemców — albo: wycofać się”.

Straszny dziś dzień. Każdy chodzi milczący. Nasi starzy chłopci — a jest ich tylko garstka tych ojców, powiedzieli, że będą nas bronić przed banderowcami. Ale co oni poradzą. Jak na wilki pójdą z widłami. Prawdziwa czarna niedziela. I znów beczę. I deszcz beczy. I mama też. Strasznie źle.

Pierwszy dzień Wielkanocy 1944 rok.

Dwa tygodnie przeżyliśmy w strachu. W razie jakiegosy sygnatu niebezpieczeństwa chowaliśmy się do ziemianek. Ale dzisiaj nareszcie oddechaliśmy. Pogoda była od rana cudowna. Przez wieś przechodził pierwszy oddział sowiecki. Nie nikomu nie zrobili. A ukraińskie reżuny uciekły. Leca jakieś samoloty.

Drugi dzień Wielkanocy, 1944 rok.

To były niemieckie samoloty. Bombardowały wieś. Ale wcale się nie bałam, choć inni płakali. Wyglądałam szparka i widziałam, jak padały bomby. Dzisiaj znowu deszcz pada. Mama woła do jedzenia. Chleb i bułki z takiej ciemnej maki mielonej na żarnach. Mam już trochę siły i też pomagalam mleć, ale było to ciężko. Ten tyfus jeszcze we mnie „siedzi”, jak mówi mój mały brat. Idę jeść.

FAKTY I ZDANIA

Taka pochwała „Odrodzenia”?

Polityka kulturalna w naszym pojęciu nie jest sprawą łatwą. Wymaga wielostronnej orientacji i w zagadnieniach środowisk społecznych i w twórczości artystycznej. Jednym z organów polityki kulturalnej są czasopisma a zwłaszcza ze względu na swą częstotliwość — tygodniki literackie. Można i trzeba oceniać je, określać miejsce i wartość każdego z nich. Ale nie można robić tego tak, jak „Dziennik Łódzki” w swej niedzielnej „Panoramie” z dn. 14 marca b. r. „Dziennik” ten — mówiąc nawiasem — z tajemniczych powodów nieprzychylny „Wsi” — podchwytuje z aplauzem notę „Słowa Polskiego” z Wrocławia, krytykującą w czambuł nasze literackie czasopisma. Są one martwe, nieciekawe, nieczytelne. Tak, tak, tak — potwierdza „Dziennik Łódzki” i dodaje ostre słowa własne: kliki, makulatura i t. d. Do stało się „Kuźnicy” za to, że chwali „Wies”, dostało się „Wsi” za chłopotanie, którą przecież zwalcza, „Nowinom” za nudę, „Tygodnikowi Powszechnemu” za martwość — jedno tylko „Odrodzenie” zdobyło się według kronikarza łódzkiego na rewolucję kulturalną, jedno „Odrodzenie” zerwało z „bełkotem” panującym we wszystkich innych pismach i tylko „Odrodzenie” „Odrodzenie” może liczyć na czytelnika i oczywiście na „Czytelnika”.

Z ciekawością śledzimy zmiany redakcyjne w szanownym, bo jeszcze lubelskim, pierwszym po wyzwoleniu — tygodniku literackim. Zmiany te polegają — jak dotąd — na większym stopniu zbeletryzowania pisma, na zwiększeniu ilości materiału informującego o zagranicy politycznej i kulturalnej; w formie obserwujemy oparcie pisma na reportażu i feljetonie. Interesujące to i konsekwentne. Ale „Odrodzenie” nie potrzebuje pochwalnego poklepywania „Dziennika Łódzkiego”, który nawet nie wie dobrze, za co chwali, za co gani.

Ze pisma literackie robione są przez grupy, czy — jak chce „Dziennik” — przez „kliki” — jest to dobrze wiadome socjologom kultury. W życiu literackim grupy pisarskie mają decydujące znaczenie, choćby historia wykazała z nich potem tylko jednostkowe nazwiska. Być może, że jednostki te stawały się często wielkimi pisarzami tylko przez „dobrą kompanię” — jak powiedział o sobie Witkiewicz.

Z drugiej strony „Dziennik Łódzki” w szczerze — niejmy nadzieję — trosce o czytelność pism literackich — lekceważy sobie samo prawo postępu życia literackiego i artystycznego w ogóle. Pisma są od tego, aby formować opinie społeczną, aby „szerzyć”, „upowszechniać” i dostarczać „godziwej rozrywki”, ale są też warsztatami pisarzy, zwłaszcza poprzez i tak ubogą u nas krytykę literacką. W tym tylko zagadnieniu — jak te warsztatowe sprawy literackie związać z problematyką szerszych niż dotychczas środowisk kulturalnych.

Paulina Czyżowa.

Starsi i młodszy Wicarze

Na warszawskim Zjeździe akademików i licealistów Wicarzy, odbytym w dnach 7-8 marca b.r. zaznaczyły się poważne różnice pomiędzy starszym i młodszym pokoleniem studiującej młodzieży wiejskiej.

Z dwudniowej dyskusji można było odnieść wrażenie, że akademicy podtrzymują tradycyjną postawę „poprawnego” studenta, który jest wprawdzie lojalny wobec obowiązującego programu nauczania, ale też nigdy nie próbuje poszerzyć i uspołecnić zdobywanej na wyższej uczelni wiedzy.

W czasie Zjazdu rzucano pod adresem akademików wezwanie do prowadzenia badań nad ruchem ludowym w uniwersyteckich kołach naukowych. Podobny postulat pod adresem wiejskiej młodzieży studiującej zgłosił starszy i młodszy działacze chłopscy na ostatnim Zjeździe Związku Samopomocy Chłopskiej w Łodzi. Tymczasem akademicy — Wicarze, studenci socjologii, polonistyki, czy ekonomii, nie podjęli tego pilnego „zamówienia społecznego” w żaden zobowiązujący sposób.

Natomiast młodsze pokolenie wicowców, reprezentujące 80% całej chłopskiej młodzieży studiującej zareagowało bardzo żywo na wezwanie do poszerzania samowzajemnej społecznej, poza szkolnym programem nauczania. Licealiści wysunęli cały szereg projektów mocnego osadzenia Związku Młodzieży Wiejskiej w terenie. Mówili oni o potrzebie organizowania dołowych, gromadzkich i gminnych kół wicowców, bibliotek i domów ludowych, podkreślając, że nie może być mowy o budowaniu samopomocowej spółdzielni,

czy uczestniczeniu w Radach Gminnych bez pogłębienia wiedzy o społecznej funkcji tych instytucji w ramach nowej struktury państwa ludowego.

Właśnie licealiści wniesli do uchwalonego na Zjeździe programu pracy — paragraf stwierdzający konieczność poszerzania samowiedzy społecznej poprzez lekturę prasy ludowej.

Wydaje się, że młodsze pokolenie wicowców, weszło na właściwą drogę. Jeżeli bowiem, przemawiając na Zjeździe, powiedział min. Skrzyszewski, że nie jest urzędnikiem „na posadzie” ale działaczem Ministerstwa Oświaty, to chłopska młodzież ze szkół średnich poszła zupełnie po tej samej linii. Licealiści chcą być nie tylko poprawnymi uczniami, ale także działaczami, świadomymi społecznej funkcji nabywanej w szkole nauki.

Chodzi więc jeszcze tylko o to, aby rosła, ce jak „grzyby po deszczu” licealne koła wicowców zostały wreszcie zaopatrzone w tę część prasy ludowej, która może i powinna stanowić właściwą lekturę — instruktaż dla wicarzy — chcących budować państwo ludowe „ano od przyciesi”. Oto zadanie dla redakcji pism młodej inteligencji chłopskiej, w pierwszym rzędzie dla „Wsi”.

Piotr Pigwa

Chłop w oczach inteligencji

Panie Redaktorze!

Pod waszym okiem w tej samej porze, kiedy odbywają się Wasze zebrania dyskusyjne na temat np. prozy Brandysa i Dygata — (inteligentów mieszczańskich) odbywają się w teatryku „Osa” przedstawienia, których jeden z fragmentów stanowi olbrzymią atrakcję dla mieszczańskiej i przedmieściowej kultury. Mówię o występach aktora Darzkiego, z reguły przedstawiających chłopaka-roztopka, ciemnego, dumnego, naiwnego, ośmieszającego do ostatnich granic. Dla widów, ni jest to chłop współczesny, stąd pisk i chichotanie na sali powszechne. Mniejsza zresztą o nastroje sali — choć budzą one gorzkie refleksje. Chodzi głównie o to, że ten punkt żelazny programu „Osy” jest jednym z owych zdumiewających paradoksów w „epoce sojuszu chłopsko-robotniczego” i programu jednolitej kultury. Chłop „Osy” przypomina mi tradycyjną i równie ulubioną przez widownię postać przedwojennego żydka — równie gorąco oklaskiwanego, z tą samą satysfakcją i tym samym poczuciem wyższości — rasi-stowskiej.

Rzecz nie może być wyczerpana w notach ani listach do Redakcji. Sprawa bowiem ma aspekt szerszy, niż prywatno-jednostkowa ciekawostka. Oczekuję we „Wsi” artykułów na temat „CHŁOP W OCZACH INTELI-GENTA MIESZCZAŃSKIEGO”, w których wspomniana sprawa byłaby tylko jedną z niezliczonych ilustracji. Temat ten rozpracowany winien być w cyklu artykułów z uwzględnieniem historycznych, socjologicznych i niemniej ważnych — moralnych względów.

Zygmunt Stolarski

KSIĄZKI NADESLANE DO REDAKCJI SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

Irena Krzywicka — Bunt Kamila Martena str. 189.

Inż. B. Hunała — Kowal str. 96 ilustr. 88.

Inż. B. Hunała — Stojarz str. 162 ilustr. 136 Tablic XVI.

M. Hn — Sztuczne oko — str. 36 ilustr. 17.

Zofia Kossak — Ziota Wolność wyd. 3 tom II str. 250.

Zofia Kossak — Ziota Wolność wyd. 3 tom II str. 254.

Maria Dąbrowska — Noce i dnie wyd. 5 tom III str. 316.

Teodor Tomasz Jeż — Narzeczona Harambaszy str. 63.

Czesław J. Conkiewicz — Wśród lodów Północy str. 63.

Guy de Maupassant — Baryłeczka i inne opowiadania str. 63.

KSIĄŻNICA ATLAS

Solly Salminen — Kartina wyd. 2 str. 499.

POKWITOWANIE

Dla biblioteki redakcyjnej „Wsi” Ob. Zofia Matyaszevska, Lublin:

Wies, dwór i miasto rocznik 1924; Ulotki polityczne rok 1928; Ruch ludowy, tygodnik, rocznik 1926; Wies polska, tyg. OZN, rocznik 1937, 1938, 1939 wraz z dodatkiem dla dzieci; Strumyk — rocznik 1938; Zagroda wzorowa — Lwów rocznik 1927; Międy Rolnik rocznik 1926; Gazeta Gospodarcza rocznik 1924; Poradnik gospodarstw wiejskich rocznik 1929; Rolnik rocznik 1923.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;

1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki przerwumery: miesięczne 60.— zł., kwartalne 180.— zł., półroczne 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII — 1080

Ofseto w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—025333